# TYDZIEŃ

Nr 38 (62) ROK II

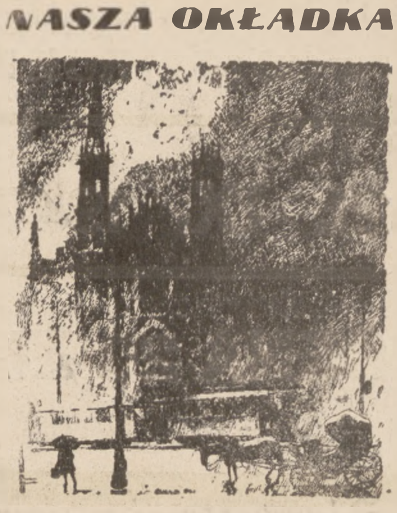
21. IX. 1947

CENA 20 ZŁ.




DZIŚ: H. M. Dąbrowolska, płk. Janusz Horodecki, Karol Małcużyński, Marian Piechal, Ierzy Wyszomirski

## NASZA OKŁADKA



*Rys. B. W. Linke*

*PLAC ZBAWICIELA WE MGLE*

*W miesiącu odbudowy Warszawy pamiętajmy, że piękno naszej stolicy zależy od naszej pomocy.*

## Singapore nie chce Anglików

PEWIEN chiński dziennik, wychodzący na terenie koronnej kolonii angielskiej Singapore, rozpisał ankietę, na którą otrzymał pokaźną liczbę 4.344 odpowiedzi. Głównym tematem ankiety była kwestia przyszłości małego, lecz strategicznie niezmiernie ważnego skrawka ziemi. Tylko 20 odpowiedzi padło za prolongatą rządów angielskich; natomiast wszyscy pozostali wypowiedzieli się za połączeniem w tej czy innej formie z Malajami.

Warto podkreślić, że w ankiecie brali udział przeważnie Chińczycy. Jako jedyną obiekcję przeciwko połączeniu z państwami malajskimi wysuwano kwestię obywatelstwa. Chińczycy pragnęliby bowiem zachować obywatelstwo chińskie, otrzymując jednocześnie również przynależność państwową Malajów. (p)

## Jak to było w roku 1932

PROTOKUŁ posiedzenia komisji śledczej Senatu Amerykańskiego w sprawie metod finansowych, stosowanych przez banki:

Senator Johnson: Czy prawda jest, że międzynarodowi bankierzy udawali się do Niemiec i namawiali rząd, prowincje, miasta, przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe do ubiegania się o pożyczki, które by ulokowano w Ameryce

Bankier Strauss: Tak jest. Zachęcaliśmy. Ale oczywiście odbiorcy tylko czekali na to, aby ich zachęcić.

Senator Johnson: Odwróciliście więc zwykły tryb postępowania w sprawach bankowych. Doprowadziliście do tego, że bankierzy udawali się do kredytobiorców, aby namówić ich do ubiegania się o pożyczki u bankierów.

Bankier Strauss: Tak jest.

Senator Johnson: W ten sposób zwiększaliście zainteresowanie i zapotrzebowanie na kredyty ze strony poszczególnych instytucji i przedsiębiorstw itp. Czy to jest prawda?

Bankier Strauss: Tak jest.

Data tego przesłuchania?

10 lutego 1932 roku.

## W imię „interesu"

ZWIĄZEK duńskich właścicieli hoteli zdecydował nie przyjmować w swych hotelach Murzynów, biorących udział w światowym kongresie baptystów, który odbywa się w Kopenhadze. Decyzja ta została powzięta „w interesie turystów amerykańskich".

Bo też czego się tym Murzynom nie zachciewa! Być baptystami i brać udział w międzynarodowych kongresach baptystycznych! Jakby nie wiedzieli o tym, że „interes turystów amerykańskich" bezwzględnie wymaga szykan antymurzyńskich.

# tak i nie

## Kulturalna propaganda Mikada

CESARZ Japonii Hirohito od dawna usiłuje odzyskać popularność w krajach europejskich, a przede wszystkim w Anglii. Ostatnio oświadczył gościom z Anglii, że jada codziennie na śniadanie prawdziwe jajka na boczku. W tym pochlebianiu Brytyjczykom nie byłoby nic zabawnego, gdyby nie okoliczność, że kilka dni przedtem Hirohito zapewniał gen. Mc Arthura, że co dzień na śniadanie zajada, jak prawdziwy Amerykanin, grapefruity.

Należy przypuszczać, że gdyby przypadkiem zawędrował do Tokio np. Janusz Minkiewicz, to Mikado oświadczyłby, że codziennie przed śniadaniem wypija „mikado" „Perły". (p)

## Gejsze w pierwszym rzędzie

JAPOŃCZYCY z Hiroshimy żądają aby domy gejsz zostały zrekonstruowane przede wszystkim. Owe „domy" jak również bary, salony fryzjerskie, sale teatralne tej dzielnicy mają być zbudowane tak, aby najsilniejsze bombardowania, nawet atomowe, nie zdołały wyrządzić szkód. Inżynierowie amerykańscy sporządzili już plan miasta, stosując się prawdopodobnie do życzeń Japończyków, którzy wykazali niezwykłe zrozumienie dla hierarchii potrzeb.

## A jednak bądź co bądź niespodzianka

W ATALANTA 98 członków Ku-Klux-Klanu wzięło oficjalnie udział w uroczystościach Kościoła Baptystów. „Nie ma w tym nic dziwnego — orzekł Wielki Smok (szef Klanu) dr. Samuel Green — podczas wojny nie przyjmowaliśmy zaproszeń z powodu braku odpowiednich tkanin na nasze stroje. Ponieważ jednak ostatnio otrzymałem oryginalne tkaniny indyjskie, z jakich nasze stroje są sporządzane, nic już nie stoi na przeszkodzie.. Uczęszczanie do Kościoła jest pierwszą rzeczą jakiej oczekujemy od członków Klanu. Należy bowiem pamiętać, że fundamentem Klanu jest dwunasty rozdział Listu Świętego Pawła do Rzymian".

Jak wiadomo, właśnie w Liście tym można czytać: „Kochajcie się wzajemnie miłością braterską... Żyjcie z wszystkimi ludźmi w pokoju".

Dla wszystkich znających „pokojową" działalność Klanu opartcie się tej organizacji na Liście Swiętego Pawła jest, było nie było, niespodzianką.

## Odtrutka na gangsterstwo

SZWECJA należała przed wojną do tych szczęśliwych państw, gdzie kradzież pozostawionego bez dozoru roweru była niemal wydarzeniem wstrząsającym całą opinią publiczną kraju. A jednak i w Szwecji, gdzie słowo „złodziej" zdawało się wychodzić z użytku, lata wojny pozostawiły również swój ślad. Szwedzi z niepokojem obserwują wzrost złodziejstwa i gangsterstwa, zwłaszcza wśród młodocianych. Szczególnie silny wpływ na tworzenie się band złożonych z wyrostków mają filmy amerykańskie i „awanturnicza" prasa koncernu Hearsta. Władze miejskie Sztokholmu, wychodząc z założenia, że te złodziejskie tendencje wynikają w znacznej mierze z braku odpowiedniego ujścia dla energii młodocianych postanowiły skierować ich aktywność gdzie indziej. Do dyspozycji młodych od 7 do 16 lat oddano mianowicie cmentarzyska aut. Uważa się, że młodzi znajdą tam pole dla pasjonującej ich aktywności, tym bardziej że dostarczy się do ich dyspozycji wszelkiego rodzaju potrzebne materiały jak również znajdą oni na miejscu fachową pomoc techniczną.

## Spisek przeciw Hollywood?

TYM razem sprawa nie jest tak głośna jak nierozwiązany dotychczas i coraz bardziej zaostrzający się problem stosunków filmowo - finansowych istniejący między angielskimi i amerykańskimi producentami filmowymi.

Tym razem obrady mają charakter nie bezpośrednio finansowy; chodzi o jakość, — nieoficjalne rozmowy jakie prowadzą w Nicei: słynny reżyser i artysta amerykański Orson Welles (twórca filmu „Citizen Kane"), reprezentanci filmu angielskiego Wiliam Wyler i Alexandre Korda oraz znany reżyser francuski Marcel Pagnol. Jak, dotychczas jedno jest pewne: suchej nitki nie pozostawiono na hollywoodzkiej „fabryce snów". Orson Welles twierdzi, że po wyprodukowaniu takich filmów jak „Maria Candelaria" (Meksyk) i „Les Enfants de Paradis" (Francja), Hollywood nie będzie już mogło zdobyć pierwszego miejsca w dziedzinie jakości filmu.

## W Bostonie też są sędziowie

PIĘCDZIESIĘCIO - ośmioletni Peter Manite przesiedział w więzieniu 38 lat. Był on oskarżony w roku 1909 o spowodowanie śmierci W. Pottera. Gdy w roku 1918 stwierdzono, że Potter zmarł na zapalenie płuc i żądano uwolnienia Manite'a, wówczas nastąpiła deklaracja, że jest on wariatem i internowano go w Bridgewater. Dopiero w roku ubiegłym został Manite ułaskawiony przez rząd. Po spędzeniu więc wielu lat za granicą wraca Manite obecnie do rodzinnych Włoch.

## Sprawa fryzury nie jest sprawą byle jaką

JAK zawiadamia „Evening News", fryzjerzy londyńscy dementują jak najbardziej formalnie stwierdzenie fryzjera paryskiego Jean Clementa, który wyraził się, że jest twórcą fryzury, jaką nosi księżniczka Elżbieta.

Ślub księżniczki spowodował olbrzymi napływ Anglików z prowincji do Londynu. Wielu z tych, którzy chcą asystować przy owej uroczystości na próżno szuka wolnych pokoi hotelowych, — hotele są przepełnione.

## Czy radykalny środek przeciw rakowi?...

JEDEN z koncernów farmaceutycznych Bliskiego Wschodu ofiarował pięćset milionów lirów włoskiemu aptekarzowi Francesco Guarnieri za jego formułę serum przeciwrakowego. Guarnieri odmówił. „Nie chcę handlować moim wynalazkiem, chcę jedynie przyjść z pomocą chorym i pragnę uniknąć spekulacji podobnych do tych, jakie mają miejsce z penicyliną".

Serum Guarnieri'ego jest niezwykle tanie; Guarnieri odkrył swój środek „AF2" przypadkiem, przygotowując z wątroby zajęczej i owczej preparaty przeciw anemii. Przedstawiciele medycyny włoskiej odnoszą się sceptycznie do wynalazku. Dyrektor instytutu przeciwrakowego, Bastianelli, uważa Guarnieri'ego za szarlatana. A jednak ze wszystkich stron Włoch napływają listy, świadczące o cudownych jakoby właściwościach uzdrawiających nowego środka.

***Ostrze na ostrze***

# CIASNE UBRANIE

**Odnoszę wrażenie, iż nasze życie kulturalne podobne jest do człowieka, który nagle wyrósł ze swego ubrania. Zbyt ciasne to ubranie nie daje możliwości szerokiego oddechu, śmiałego ruchu, pełnego rozmachu — swobodnego gestu. Jest bowiem tak, że nasze zainteresowania i potrzeby kulturalne przerosły niepomiernie dotychczasowe formy i ramy, w których rozwijała się i zamykała jednocześnie sztuka.**

**Stało się to w następstwie przemian gospodarczych, politycznych i społecznych. Pomnożyliśmy bowiem w Polsce powojennej człowieka przez włączenie szerokich mas ludowych w gospodarcze, twórcze procesy. Pomnożyliśmy człowieka tyle razy, ilu obywateli wykazuje spis ludności w Polsce.**

**O ile jednak reforma rolna, czy też unarodowienie przemysłu były w pewnej mierze po prostu aktem prawnym, oddającym na własność warsztaty ludziom, którzy je stworzyli własną pracą, o tyle w obliczu głodu już nie materialnego, lecz kulturalnego tego pomnożonego człowieka okazało się, iż zapasy naszej spiżarni są równie skąpe, jak nieodpowiednie.**

**Jeśli mówimy, że nasze potrzeby kulturalne przerosły możliwości ich zaspokojenia, nie znaczy to, iż zainteresowania nasze w tej dziedzinie pogłębiły się. Podniesienie poziomu życia kulturalnego nie przestaje być nadal palące aktualne — schodzi jednak w tej chwili na drugi raczej plan wobec innego zagadnienia.**

**Mianowicie — zwiększył się krąg zainteresowanych przejawami życia kulturalnego — krąg zarówno odbiorców wrażeń artystycznych, jak również twórców, czy kandydatów na twórców w dziedzinie sztuki. Pomnożony człowiek w Polsce chce czytać, chce się dokształcać, chodzić do teatru, słuchać muzyki — względnie — szuka form i możliwości uzewnętrznienia uśpionych dotychczas talentów, prężących się z żywiołową siłą.**

**I tak się stało, iż ramy naszego życia kulturalnego, obejmującego do niedawna szczupłą grupę inteligencji i intelektualistów, nie są w stanie sprostać tym nowym wymaganiom.**

**Zbyt wolno nadążamy za tempem ogólnego życia z wypracowywaniem tych nowych ram i form.**

**Zbyt ciasne są mury teatrów, zbyt przypadkowy wciąż jeszcze dobór repertuarów teatralnych, tym łatwiejszy i niebezpieczniejszy, iż wygłodzona artystycznie publiczność, nie panująca nad swoim sądem i oceną, łyka chciwie i bez różnicy zarówno rzeczy najtrudniejsze, jak bzdurne szmiry.**

**Zbyt ciasne są mury uczelni, Akademii Sztuk Pięknych, nie mogące pomieścić napływu młodych talentów, przebudzonych gdzieś w obozach wojennego czasu czy przy warsztatach. Zbyt mało zastosowania tej młodej twórczości w przemyśle, który jakoś nie może znaleźć wspólnego języka ze światem artystycznym i podobno nawet... niestety woli sprowadzać zagraniczne wzory.**

**Muzycy, zagubieni w kłopotach codziennego zarobku, nie mają zorganizowanych mocnych podstaw materialnych dla swej twórczości — nie mogą odetchnąć szeroko i swobodnie. Tymczasem ludzie dopominają się o dobrą starą — i nową muzykę. Ciągle zbyt jeszcze mało koncertów popularnych w szkołach, fabrykach, wiejskich świetlicach.**

**Można przykłady mnożyć bez końca — nadają się one nie tyle do felietonu, ile do większego, naukowego studium. Świadczy to jednak o jednym. Ludzi nie brak. Brak nawet nie tyle środków — ile inicjatywy i koordynacji w zakresie spraw kulturalnych.**

**Najwyższy czas się tym zająć — z niecierpliwością oczekujemy głosu w tej sprawie ze strony nowego ciała — Rady Kulturalnej przy Radzie Ministrów.**

**Moment jest krytyczny. Obudziły się jednocześnie: ogromna ciekawość, tęsknota do piękna pomnożonego człowieka i wielka niecierpliwość twórców. Należy oba te tak zdrowe i potrzebne dążenia zlać w jeden potężny nurt.**

**Inaczej — albo w ciasnym ubraniu pękną szwy i całość rozleci się w sposób niepożądany, albo noszący je stale człowiek przyzwyczai się do swojego skrępowania i straci na długi czas ochotę do wszelkich śmiałych ruchów.**

**AVIS**

KAROL MAŁCUŻYŃSKI

# NA NOWYCH KRESACH

Do wyziębionego przedziału buchnęła przez otwarte drzwi mroźna fala. Weszło ich pięciu — pół cywile, pół wojskowi. Tupali ośnieżonymi, niezgrabnymi buciskami, z hałasem szukali miejsca. Łypnęli nieco nieprzychylnie na mnie, cywila (w przedziale dla wojskowych!), zasalutowali memu towarzyszowi podróży, rotmistrzowi. Uspokoiła ich widać obecność szarży, bo przestali się moją cywilną osobą interesować.

Rozsiedli się szeroko, otrząsając z zimna. Z drewnianego wojskowego kuferka wyciągnęli wielki, powygryzany bochen kartkowego chleba i krajali grube, pękate pajdy. Chleb był twardy i suchy. Znikał szybko.

Na widowni pojawiły się, blaszane poszczerbione pudełka z tytoniem, z zakamarków kieszeni wydobywali resztki bibułki. Skręcili wiechciowate papierosy i zapalili ze smakiem i wiel kim swędem.

Pociąg ruszył. Zaczęli się przerzucać uwagami, dowcipkować, w zapadającym półmroku sączącym się przez zamarznięte szyby błyskały co chwila białe zęby i rozbrzmiewał szeroki, kanciasty chłopski śmiech.

Gadali śpiewającym, kresowym akcentem. Zaciągali, że jej!!

Po kwadransie wiedzieliśmy już o nich wszystko.

Trzech ich było z Tarnopolskiego, dwóch spod Lwowa. Świeżo zdemobilizowani. Oczy im się śmieją do wolności, papierki mają już w kieszeni, ale całą skórą tkwią jeszcze we wspomnieniach wojskowych.

Odpruł się jednemu guzik.

— Ta, co sie martwisz bracie. Teraz już ci wolno. Poobrzynać se możesz i wszystkie.

— Idź ty. Jak dziad będę chodził

Coś tam opowiadają o jakimś sierżancie, o jakiejś przeprawie, coś tam pomstują na jakąś trzecią kompanię, co „się zawsze ciągnęła w ogonie, jak smród po gaciach".

— Ty, stul mordę, tam panieńka siedzi. — Zaśpiewało znów to „panieńka".

— A dokąd chłopcy jedziecie? — zagaduje rotmistrz.

— A do domu — wyrywa się jeden.

Zdziwiłem się i opadła ze mnie narastająca senność.

— Dokąd? Za Bug?

— Za jaki tam Bug? Na Szląsk.

Licho wie czemu, wymawiają wszyscy: Szląsk.

Jadą na południowo zachodni cypel Polski. Pod Zgorzelec. Dwóch ma tam całe rodziny, opowiadają a wyprzódki o wieprzkach, krowach i elektryce w oborze. Dwóch innych, kawalerów, ma rodziny dalej na północ, ale jadą też pod Zgorzelec, „bo tam wszystkie nasze kolegi, panie, z wojska".

— I ziemia tam ładna — dorzuca miękko któryś.

Widział, był na urlopie.

Piąty milczy w kącie. Słucha jakby niechętnie. W gęstniejącym mroku obraca się ku zaśnieżonej szybie i gru bymi wargami zaczyna pedantycznie „wydmuchiwać" topniejące kółko.

— Taka tam i ziemia. I jaki tam „dom" — rzuca po chwili z jakimś wyrzutem ciężkim, nie odwracając twarzy od kółeczka na szybie, które już płacze roztopionym szronem.

Zapada chwila milczenia.

— Oj, tak. Tobie to nie ma domu — odzywa się, siedzący koło mnie. On, panie nikogo doszukać się nie może. Ojca i matkę mu Szwaby wywieźli, kontyngentów nie oddał, bo mu zboże partyzanty zabrały. Sam był wtedy w Czerwonej Armii — Sowieci go zmobilizowali — dodaje jakby komentarz — to i nie został we wsi. Siostrę mu granatnik zabił, jak front przechodził. A brat w lagrze siedział jeszcze od września. Później go gdzieś do fabryk na Zachód zabrali i wpadł gdzieś chłopak.

Znów chwila milczenia, przerwana tym razem rozgłośnym chrapnięciem. Ktoś w zmroku zachichotał.

— Ta, jest się czego śmiać. Pojechałaby pani trzy dni, jak my. Z Olsztyna. Też by pochrapała, joj.

— To wy, aż z Olsztyna. I na Śląsk jedziecie. A tam, co. Pracy nie dawali.?

— Taż ja mówił już panu. Czemu nie mieli dawać, kto chciał — to dawali. I po wsiach można było osiąść. Ale tam. panie, nie życie. Tu ruch jakiś, raźniej. Tam Mazury — a tu swoi. Tak i jedziemy.

Częstuję ich papierosami. Ożywiają się wszyscy, gmerają w paczce „Chesterfieldów" stwardniałymi, grubymi palcami, pieczołowicie umieszczają papierosy w zniekształconych, drewnianych „lufkach". Salutują dziękując, unosząc się grzecznie z siedzenia.

Jeden z nich zaczyna podśpiewywać. Po chwili przyłącza się drugi. Usiłują wyśpiewać coś tam na dwa głosy.

— Chłopcy, zaśpiewamy „Płynęli..."!

Idzie piosenka za piosenką. Niewybredne melodie marszowe, prymitywne słowa. Śpiewają po wojskowemu, z „przytupem" na ostatnich zgłoskach, rozkrzykując się ni z tego ni z owego na cały głos. W najmniej spodziewanych momentach, ale wspólnie. Są zaśpiewani, ale nie umieją śpiewać.

Wplatają się melodie rosyjskie, rozlewne, usypiające.

Głowa opada na piersi. Pociąg wlecze się nieznośnie. Przedział się stopniowo zapełnia, robi się cieplej.

— — — — — — — —

„My, awan-gar-da! Pracy armia twaar-da!"

Z półsnu budzi mnie nagle, pełnymi piersiami wykrzyknięty refren kolejnej piosenki.

Znam tę melodię.

Lato, upalny czerwiec 1939 roku. Obóz Junackich Hufców Pracy w Poznańskim. Sypiemy wał ochronny nad Wartą. Wracając z pracy, rozpaleni, wysuszonymi gardłami śpiewamy:

**„My, awangarda**
**Pracy armia twarda**
**Nasz los, to Polski los**
**Nasz los, nasz los".**

I teraz, po siedmiu latach, w pociągu Wrocław — Wałbrzych, znów ta kanciasta piosenka.

Przysłuchuję się uważnie. Przecież oni śpiewają jakieś inne słowa. Coś bardzo podobnego, ale nie to. W pierwszej chwili trudno uchwycić.

**„My, awan-gaarda!**
**Pracy armia twaar- da!**
**Na Szląsk, na polski Szląsk.**
**Na Szląsk! Nasz Szląsk**

To dlatego tak mi trudno zrozumieć słowa. Oni znów wymawiają „Szląsk".

Pociąg zwalnia biegu. Chłopcy śpiewają z coraz większym rozmachem. Dołączył się do nich i ten piąty. Ten, którego, skrzywdzili i „Szwaby" i „partyzanty". Ten, który nie ma domu i nikogo bliskiego na całym Bożym świecie doszukać się nie może.

**„...Na Śląsk! Na polski Śląsk!**
**Na Śląsk, nasz Śląsk!**

Pociąg zwalnia i staje. Przedział już jest pełny. Tuż obok słyszymy jakąś niemiecką rozmowę. Ściszona, jakby wstydliwa.

— Żeby Niemcy jeździli w przedziale dla wojskowych — odzywa się czyjś poirytowany głos. We Wrocławiu na dworcu straż wyrzucała Polaków — cywilów, a tu już Niemcy.

Ściszony dialog gwałtownie milknie. Ktoś się przepycha ku wyjściu.

— Czy to już Wałbrzych, czy Świebodzice?

— Ja, ja, Jawohl. Szweboczice — usłużnie pośpieszył z odpowiedzią jeden z rozmawiających poprzednio Niemców.

— A kiedy Solice Dolne?

— Nein. Noch nicht Solyce Dolne. S'ist Szweboczice. Und dann Walbrzik.

**„...Pracy armia twarda!**
**Na Śląsk, na polski Śląsk..."**

Nowy spazm refrenu zagłuszył rozmowę. Niemiec ociera pot z czoła. W przedziale robi się duszno. I te polskie nazwy są takie strasznie trudne.

Pięciu zdemobilizowanych chłopców śpiewa. Trzech jest z Tarnopola, dwóch spod Lwowa. Siedem lat przetoczyło się. Kresowi chłopcy jadą na kres Polski. Poprzez głębie Rosji, przez szlak frontowy przez Olsztyn. Dojeżdżają do Wałbrzycha. Czeka ich jeszcze ładny kawałek drogi. Zgorzelec jest daleko. Pod samą granicą. Siedem lat przetoczyło się. Zmieniło się parę słów w refrenie żołnierskiej piosenki.

**„Na Śląsk, nasz Śląsk!"**

Zabrzmiało po raz ostatni.

Siedem lat przetoczyło się. Niemiec otarł już pot z czoła. Próbuje jeszcze

*(Dokończenie na str. 9)*

## NA EKRANACH




**„Przysięga" film produkcji radzieckiej, wytwórni Studia Filmowego w Tyflisie reżyserii Cziaurellego. W rolach głównych H. Gelonani, S. Hiacyntona, T. Makarowa i A. Gribow.**



**„Zenobia", nowy film amerykański wytwórni „United Artist", z Oliverem Hardy jako weterynarzem w roli głównej. Tematem tej komedii-groteski jest historia uczucia słonicy Zenobii do swego wybawcy — lekarza weterynarii**

Janusz Horodecki, płk dypl.



# O MANEWRZE

W dziedzinie wojskowej stykamy się często z takimi określeniami, jak **manewr** lub **manewrowanie**. Ażeby wyjaśnić istotę manewru, możemy dokonać pewnego porównania, stwierdzając już na wstępie, że słowo manewr kojarzy się z pojęciem użycia siły. Mówimy więc, że biegły drwal, kowal czy górnik manewrują narzędziem swej pracy i rozumiemy przez to, że dążą oni do najumiejętniejszego zastosowania koniecznych ciosów czy uderzeń przy najwydatniejszym sposobie wykorzystania swej siły.

Nie inaczej rzecz się ma na wojnie, która, jak wiemy, streszcza się nie tylko w przeciwstawieniu się sobie czynników moralnych, ale wyraża się przede wszystkim w brutalnym i bezwzględnym zastosowaniu przemocy fizycznej, by przez zniszczenie żywej i materialnej siły przeciwnika wymusić jego uległość.

Z pojęciem manewru łączy się nieodzownie czynnik ruchu, bez czego, według praw fizycznych, żadne użycie siły nie może nastąpić.

W zrozumieniu wojskowym manewr wyraża więc pojęcie ruchu, prowadzonego w określonym celu i jest on środkiem do zadania przeciwnikowi rozstrzygającej klęski.

W dobie wojen obecnych jedna bitwa nie decyduje o losach wojny, toteż działania wojenne obrazują szereg kolejnych operacyj, zmierzających konsekwentnie do osiągnięcia celu wojny. W działaniach tych ,ściśle dostosowanych do położenia ogólnego ,manewrujący dąży do zmuszenia nawet silniejszego przeciwnika do przyjęcia bitwy w warunkach dla tego przeciwnika najmniej dogodnych.

Tak pojęta istota manewru, którego ostatecznym celem jest rozbicie równowagi nieprzyjaciela, nie zaistniała od zarania powstania walki zbiorowej. Źródła, skąd manewr wypływa, możemy domyśleć się w sposobie działania ruchliwych i podstępnych hord azjatyckich, a badając historię wojen i wojskowości poznajemy różne okresy rozwoju, upadku i bezwzględnego triumfu idei i znaczenia manewru.

Działo się to pod wpływem rozrostu walczących sił, powiększania się w związku z tym obszaru pól bitewnych i udoskonalania narzędzi walki. Jednak przemożny i zasadniczy wpływ na przyjęcie się manewru ,jako środka do zwycięstwa, wywarły myśli i czyny utalentowanych wodzów, którzy na przestrzeni wieków pojawiali się na arenie życia narodów i którzy rozumieli nieodzowną konieczność usprawnienia mechanizmu bitwy.

Tę ostatnią w starożytności i długo jeszcze potem charakteryzowała ociężała i sztywna forma walki toczonej przez dwa wrogie wojska uszykowane na wprost siebie w sposób równoległy i płytki.

Długo i uporczywie trzymano się dla różnych przyczyn tej formy bitwy, nie pojmując wykazanej przez światłe wojskowe umysły prawdy, że dla osiągnięcia zwycięstwa nie trzeba być wszędzie jednakowo silnym, lecz że należy skupić dostateczne siły w obranym przez siebie kierunku i czasie i uderzając zachwiać równowagę przeciwnika.

Był okres (wiek XVIII), że manewr, zamiast być środkiem do zwycięstwa, stał się tylko celem poszukiwanym przez ówczesnych wodzów. Pod wpływem haseł humanitaryzmu dążono wówczas do opanowania martwych elementów obrony, dawano przeciwnikowi pierwszeństwo strzału i zamierzano wygrać wojnę kunsztownym zaszachowaniem wroga, a nie drogą zniszczenia jego istotnej siły.

Nie będąc bitym, uznawano się dobrowolnie za pobitego i ustępowano placu lub składano broń. Idylliczne, często nieomal bezkrwawe wojny owego okresu, toczone przez sprawnie poruszające się na polach bitew armie kadrowe, przeobraziły się w epoce Rewolucji Francuskiej w zmagania wielkich mas wojsk ludowych, mniej sprawnych, trudnych do dowodzenia, ale ożywionych duchem wolności i żądzą istotnej walki. Bitwy stały się znów krwawe, tylko mechanizm ich pozostał nadal ociężały: wojska są stłoczone, dowódcy nie są w stanie kierować przebiegiem walki i o jej wyniku decydował raczej wypadek.

Wyzwolone i pobudzone powiewem rewolucji instynkty mas ludowych wyzyskał w owym czasie geniusz Napoleona. Z kombinacji ruchów elementarnych (ruchy dywizyj, korpusów) budował on konsekwentnie plany swych każdorazowych bitew, gdzie wokoło




– Szlachetni wrogowie ... zacznijcie pierwsi!

jednego celu ogniskowały się kierowane myślą przewodnią wodza zbieżne wysiłki jego wojsk.

Odtąd sztuka wojenna nabrała istotnie twórczego rozwoju, a idea manewru pozostała na zawsze podstawą działań operacyjnych i strategicznych.

Pod wpływem coraz to dalszego ognia broni palnej, stale wzrastających stanów liczebnych walczących armii, rozwoju środków komunikacyjnych i łączności, zmieniały się i zmieniać się będą niewątpliwie nadal warunki i sposoby wykonywania manewru. Dotyczy to zarówno rozwijania się oddziałów na polu bitwy, jak i samego doprowadzenia wojsk w okresie przygotowawczym. Z dawnej małej a wąskiej przestrzeni wyszedł dzisiejszy manewr na wielkie obszary obecnych teatrów działań, a na swe wykonanie zaczął wymagać znacznych nieraz okresów czasu.

Miniona wojna światowa stanowi jeden wielki cykl kolejnych działań, nigdy nie pozbawionych idei manewru. Rzut oka na schematy ilustrujące niektóre działania zaczepne walczących na wschodnim froncie armii polskich obrazuje grę sił, wynikającą z przyjętych przez dowódców tych armii koncepcji.

Pieczołowicie ukrywane wstępne ruchy jednostek doprowadziły do każdorazowego skupienia odpowiednich sił w miejscu, gdzie w nieprzyjacielskiej obronie zamierzano dokonać wyłomu.

W warszawskiej operacji ze stycznia 1945 r. (szkic 1) postanowił d-ca 1 Armii (gen. Popławski) dwustronnie oskrzydlić siły niemieckie, broniące uparcie stolicy. Pragnął on jednocześnie uniknąć czołowego natarcia na rozległe i przystosowane do obrony miasto, oraz sforsować Wisłę poza obrębem Warszawy.

Wysiłek główny wykonany został lewym skrzydłem, pomocniczy — prawym, a dla wiązania Niemców od czoła, tj. z kierunku, gdzie, według relacji jeńców, spodziewał się przeciwnik zasadniczej akcji, pozostały zaledwie jedna dyw. piechoty oraz brygada kawalerii, rozciągnięte na 40-kilometrowym froncie.

Wyniki zgranego z sąsiednimi armiami radzieckimi działania jest znany, a data wyzwolenia Warszawy, tj. 17 stycznia 1945 r. pozostanie na zawsze pamiętna.

Przy forsowaniu w kwietniu 1945 r. Odry (szkic 2) główna grupa uderzeniowa 1 Armii zebrana została na jej skrzydle południowym (trzy dyw. piechoty, brygada kawalerii, gros artylerii). Natarcie zasadnicze, wykonane zostało przez dwie dywizje, które, wyruszając ze znajdującego się w posiadaniu Armii Czerwonej przyczółka, uderzyły na przeciwnika z boku, powodując likwidację jego obrony na Odrze i ułatwiając sforsowanie rzeki natarciu czołowemu.

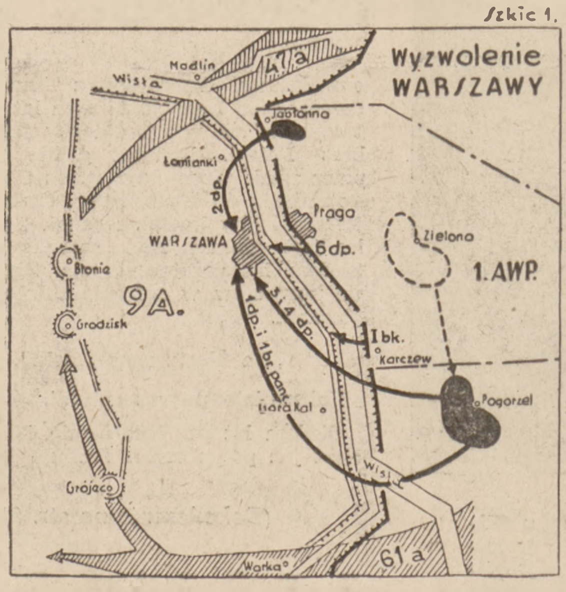
Po zajęciu przez Niemców następnej linii na kanale Starej Odry — manewr lewego skrzydła został skutecznie powtórzony.

Przy natarciu na linię umocnionej Nysy (Szkic 3) znakomita większość sił 2 Armii oraz I korpus i XVI bryg. panc. rzucone zostały na 44-kilometrowy zaledwie odcinek pod Rothenburgiem. Dwie dywizje piechoty wykonały uderzenie pomocnicze, obejmujące front 20 kilometrów. Dzięki osiągniętej przewadze miejscowej uzyskał dowódca armii (gen. Świerczewski) szybki sukces, dokonując wyłomu w ostatniej przed Berlinem pozycji obronnej przeciwnika i uzyskując możność wykonania głębokiego uderzenia w kierunku na Drezno.

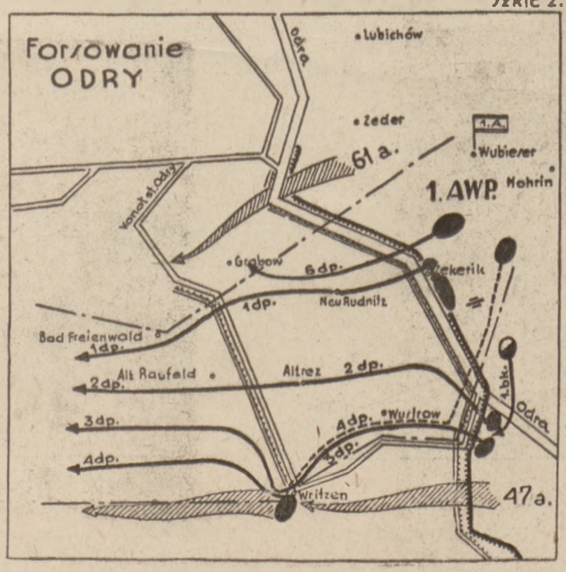


*Ociężała i sztywna forma walki w starożytności.*

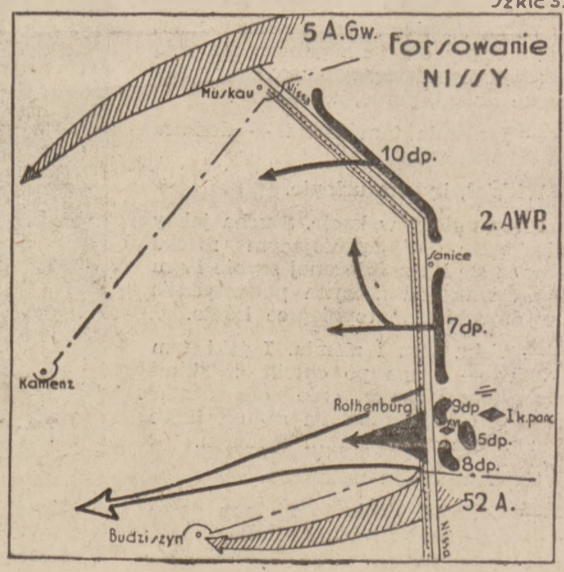
Szkic 1.



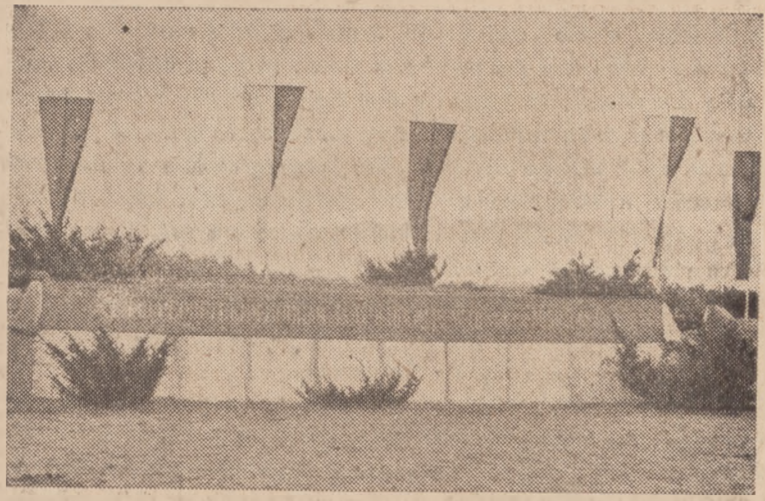

Szkic 2.




Szkic 3.



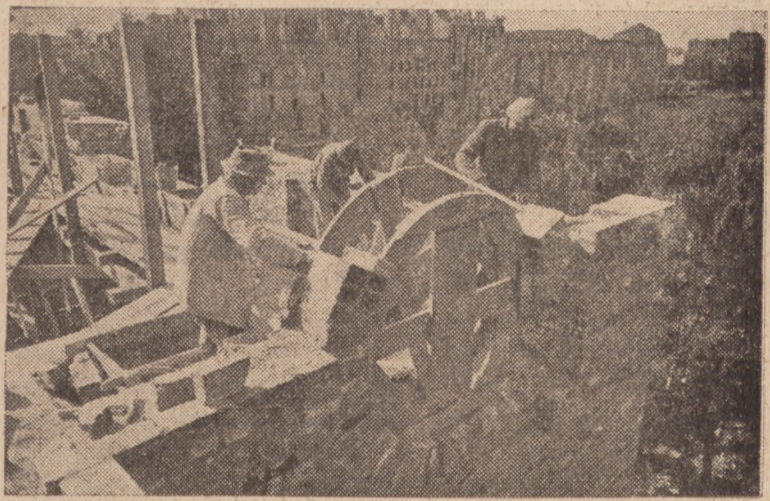
# Film TYGODNIA



Mauzoleum wzniesione koło Ostrowii Mazowieckiej ku czci żołnierzy radzieckich zamordowanych przez Niemców.



—Tablica ku czci żołnierzy I-ej Armii poległych w walkach o Pragę.



Odbudowa kościoła Sw. Piotra i Pawła na Koszykach.



*Fot. Film Polski*

14 bm. przybył do Warszawy generalny sekretarz francuskiej Federacji Pracy i v.-przewodniczący Światowej Federacji Zw. Zawodowych, Leon Jouhaux. Jouhaux (w kapeluszu) na lotnisku w Warszawie w towarzystwie sekretarza generalnego K.C.Z.Z. posła Kuryłowicza.



W Szczecinie, którego fragment portu repredukujemy, odbył się III Zjazd Przemysłowy Ziem Odzyskanych, wyznaczający nowy etap odbudowy kraju



ZNOW W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Pierwsza partia Żydów, przymusowo przywiezionych do Hamburga, umieszczona została w obozie w Poppendorf, 8 mil. od Lubeki. Młodzi Żydzi wyglądają przez druty kolczaste, którymi otoczony jest ich obóz w Poppendorf.



Mecz tenisowy Warszawa — Sztokholm. Drużyna szwedzka. Stoją od lewej: Klopfsten, Rohson i Blomvist



*Fot. Film Polski*

Radziecki balet Moisiejewa na swych występach w Polsce witany był entuzjastycznie przez publiczność.

*Szanowny Panie Redaktorze!*

*Z miłym wzruszeniem czytałem numer 31-szy Pańskiego Tygodnika, w którym, jak i w roku ubiegłym, znalazło się dużo miejsca na wspomnienie z powstania sierpniowego. Mam wrażenie, sądząc po doświadczeniu z mojej placówki pracy, że wszędzie mile i z sympatią powitano ten numer „Tygodnia“. Dla jednych jest on przypomnieniem dawnych pięknych dni, dla innych jest jeszcze jednym źródłem wiadomości o tych wydarzeniach.*

*Jeszcze długo, długo nie będziemy mogli znać wszechstronnie naświetlonej historii tego powstania, ale mam wrażenie, że wszelkie tego rodzaju artykuły zamieszczane na łamach czasopism pozwolą na mozolne zgrupowanie całego materiału; nawet tych małoważnych drobiazgów i szczegółów.*

*Jako jeden z tych, którzy przeszli i przeżyli ten zryw polski, jestem w posiadaniu pewnych drobiazgów, które dla pewnej części społeczeństwa nie są może znane. Dlatego pragnę je wypożyczyć Panu do ewentualnego wykorzystania i opublikowania na łamach Pańskiego poczytnego tygodnika. Specjalnie chodzi o znaczki pocztowe.*

*Ostemplowane wyszły w sierpniu 1944 roku w serii składającej się z 5-ciu sztuk, w różnych kolorach. Ten drugi należy do znaczków wydanych we wrześniu i nie był jeszcze w obiegu Poczty Polowej. Wszystkie te znaczki są notowane, na giełdach filatelistycznych w kraju i za granicą i to nawet dość wysoko.*

*Dwudziestozłotówka należy do przestemplowanych w czasie powstania banknotów Banku Emisyjnego G. G. i stanowiła raczej minimalny środek płatniczy.*

*Jeśli Pan uzna za stosowne, proszę wykorzystać te drobiazgi.*

*Łączę wyrazy szacunku i poważania oraz życzenia dalszego, jak najpomyślniejszego rozwoju „Tygodnia“.*

*Z. ELKAĆY*

*Łódź, w sierpniu 1947 roku.*

# W S P O

JUŻ trzy lata minęły od pamiętnego dnia sierpniowego... Gdziekolwiek by los nie rzucił uczestników powstania sierpniowego, zawsze te dni będą powodem wspomnień, których nic zaćmić nie będzie w stanie.

Jak na jawie przesuwają się znów nastroje i obrazy tych dni wspaniałych choć groźnych i chmurnych.

Już nawet na wspomnienie dni lipcowych, poprzedzających wybuch powstania robi się człowiekowi dziwnie duszno, ciasno.

Robi się gorąco... Krew przyspieszonym tętnem pulsuje w żyłach niczym rozpalona lawa.

— Co będzie...

A raczej:

— Kiedy... Kiedy...

Pytanie to męczyło. Natrętnie wdzierało się du ludzkiej świadomości, i to nie tylko tych „wtajemniczonych“. Każdy mieszkaniec Warszawy, nawet ten, który dotychczas ze strachem myślał o ulicznych akcjach odwetowych czy sabotażowych, teraz zapytywał w duchu — jeśli nie miał jeszcze odwagi głośno!

— Kiedy...

Nie zdawało się nikomu, że „nasi chłopcy“ pozwolą „im“ tak spokojnie wrócić do swego „Heimastlandu“.

Mundury „feld-grau“ poznikały z ulic warszawskich. W każdym razie nie widziało się już chodzących samopas żołdaków, flegmatycznie dzielących się spostrzeżeniami, nonszalancko pogwizdujących, roześmianych, rozwydrzonych. Jeśli razili jeszcze, to już jako zbite psiaki, ociekające klęską wyrywające cichaczem na zachód. Zachodzące słońce ostatniej niedzieli lipcowej oświetlało planowy odwrót Aleją Sikorskiego, od Wisły... Jechali senni, zmęczeni, zakurzeni pyłem polskich dróg, zastraszeni widocznie niedawnym okrzykiem nacierających żołnierzy radzieckich i polskich. Już nie spoglądali ciekawie po tłumie przypatrujących się im warszawiaków. Byli — tak się zdawało — obojętni... Ze zmęczenia kiwali się na swoich wozach, wózkach czy taczankach... A może chowali głowy ze wstydu... Może obawiali się dojrzeć drwiące uśmiechy ludu warszawskiego. Im samym widocznie jest głupio, że ci też mogą sobie pomyśleć, że w tak opłakanym stanie wraca niepyszna, ta do niedawna, najwspanialsza — na wszystkich frontach zwyciężająca armia Wielkich Niemiec! Tak, tak ona teraz wraca.





Płynęli falą olbrzymią, ale prawie już nie groźną. Cieszyli nasze oczy swoim widokiem.

Tego wieczora nie straszyły już prawie nikogo denerwujące dźwięki syreny żandarmskiej, której głos znał każdy warszawiak. Wiedzieliśmy, że jeżdżą i wyją, nie strasząc nas (choć to było ich celem), lecz po to, aby zagłuszyć swój zwierzęcy, budzący się w zakamarkach ich świadomości, strach! Napięcie nerwowe, wraz z dusznością powietrza, zdawało się dochodzić do zenitu, kiedy wreszcie przyszło odprężenie. Dla jednych objawiło się ono na Bielanach czy na Żoliborzu, dla innych w Śródmieściu lub na Mokotowie, albo też na Woli lub Starówce...

Temperatura spadła z pierwszym terkotem peemów, grających dla naszych uszu najpiękniejszą pieśń wyzwolenia. Spostrzegliśmy Wolność w skurczonych napięciem woli i myśli twarzach młodych chłopców i dziewcząt, w szarych, codziennych przeważnie, ubraniach, upiększonych tylko maleńką oznaką — orzełkiem — i biało-czerwoną opaską lub wstążeczką. Jeszcze nie było uśmiechów. Ale była pogoda i radość życia i ducha. Był spokój dający odprężenie nerwom.

Jeszcze nigdy dla młodego pokolenia widok godła państwowego i wyciąganych z ukrycia i wywieszanych flag narodowych nie miał tak wielkiego, prawie epokowego znaczenia. Rozśpiewały się nam dusze, pozwalając płynąć łzom radości.

Czuliśmy się wolni, choć wróg był jeszcze w mieście.

Nic to, że przed nami droga długa i ciernista.

Nic to, że wszędzie dookoła krew. W nas jest Wolność! I przed nami również przyszłość nowych dni! A z nami Naród cały!

Niech żyje Polska Niepodległa



Powoli — mimo ciągłe ofiary — wyzwalał się nawet humor. Tak, humor warszawski, powstańczy... Wszyscy stanęli do pracy. Barykady były wszędzie. I nie tylko na ulicach. Były w każdym domu, w każdym nawet mieszkaniu warszawskim, były w każdym polskim sercu. Barykady ducha niezdobyte! Wszyscy starali się dopomóc walczącym. Każdy składał służbie swoje największe chęci i najlepsze umiejętności. Cały swój entuzjazm. Ani się spostrzegliśmy, jak zaczęliśmy żyć jakimś innym życiem. Życiem może zamkniętym — ale prawie pełnym.

Wśród kanonady dział, wśród walących się domów powstawały różne urzędy, które winny istnieć w każdym normalnie żyjącym mieście. Prócz niezbędnej do dalszej walki broni, trzeba się było martwić o wyżywienie nawet ludności cywilnej. I to się robiło. Byli i tacy, co kłopotali się o rozrywki.

I wszystko to, choć w namiastkach, ale było!.




Pieniądze powstańcze

# M N I E N I A



Była poczta, teatry, koncerty, kino, były nabożeństwa odprawiane przez księży dla walczących, rannych, i cywilów, a nawet kawiarnie dla szukających wytchnienia między akcjami. Była prawie, że własna „mennica", która „biła" powstańcze pieniądze.

Z młodzieńczej piersi wyrywał się tak często śpiew, który — choć nie jednego denerwował — ogólnie krzepił.

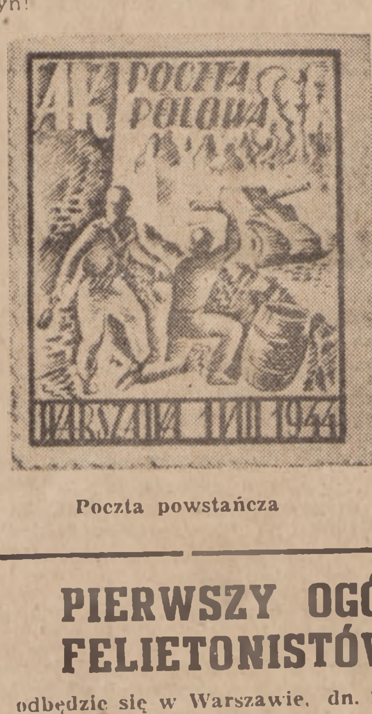
Ale nie dziw się człowieku, któryś nie był wtedy z nami w te pamiętne wielkie dni sierpnia i września, że mieliśmy czas na sprawy i rzeczy, zdawałoby się nieważne, zbędne. Słowa są zawsze tylko słowami, i może i w tym wypadku nie potrafią wytłumaczyć tego wszystkiego, co się wtedy czuło. My jednak wiemy, że gdyby zabrakło wówczas nawet najdrobniejszego szczegółu — to by to nie było „to"! To wszystko nie miałoby charakteru zrywu, a byłoby rzeźnią!

Czy wiesz poco były te znaczki... Żeby „nasza poczta" miała więcej realnej wartości. Po to, aby ci najmłodsi żołnierze nie musieli siedzieć wbrew swej woli w piwnicach, ale w służbie „Poczty Polowej" prowadzonej przez „Szare Szeregi", w najtrudniejszych warunkach przenosili zwiastuny życia, radości i bólu. Tą drogą, walczący na Czerniakowie syn mógł uścisnąć na papierze swą matkę, pocieszyć ją, że żyje i walczy! Walczący na barykadach Woli chłopiec w trzech słowach zapewniał bohaterską dziewczynę, niosącą pomoc rannym w Śródmieściu o swej wielkiej miłości. A żona, którą wybuch powstania zastał u krewnych na Mokotowie, donosiła mężowi na Starówce, że wśród huku i dymów urodził mu się syn!

Tak, dziwne czasem wspomnienia nasuwa maleńki znaczek pocztowy z napisem „Poczta Polowa A.K.".

Nie sądź — broń Boże — czytelniku, że nasi artyści po to chodzili w cieniu barykad i przekopów, aby nie wyjść z formy artystycznej, ale po to, aby wywołać uśmiech na twarzach tych, których wróg wyeliminował z dalszej walki, teraz zmuszonych do leżenia w dusznych salach „szpitalnych". To samo było z naszymi reporterami, którzy z aparatami fotograficznymi i kartkami papieru przechodzili z jednej placówki do drugiej. Nie robili tego dla sportu, a z prostego obowiązku. Informawali ogół o naszych osiągnięciach. Filmowcy zostawiali ślad przemawiający do nas z ekranu o pierwszych walkach powstańczych.

Tak na froncie walki powstańczej Warszawy stanął cały lud Warszawy! Chociaż już cień trzech lat przykrywa tamte dni, to jednak wspomnienia są stale żywe...



Poczta powstańcza

## *Niezawsze*
# „CZAS TO PIENIĄDZ"...

*(Korespondencja wł[...]na „Tygodnia")*

**Migawki mediolańskie**

**Mediolan, w sierpniu**

Co kraj to obyczaj — powiada stare przysłowie. Mam wrażenie, że nie tylko co kraj, ale nawet „co miasto". Dlatego pisząc o Mediolanie zastrzegam się że — być może — w innych miastach włoskich jest inaczej...

W każdym kraju cudzoziemiec czuje się obco, nieswojo, nawet jeżeli „autochtoni" wykazują największą gościnność — nie przestaje być obcokrajowcem. We Włoszech jest inaczej: Włochom tak weszło w krew, że cudzoziemiec to turysta, a turysta to dolary, że do każdego, kto nie mówi po włosku odnoszą się z niezwykłą rewerencją i uprzedzającą grzecznością. Śmiało można powiedzieć, że Włochy to jedyny bodaj kraj na świecie, gdzie obcokrajowiec ma, a w każdym razie może mieć kompleksy wyższości!

Podobno żebrak, który zwracał się do przechodniów o jałmużnę we własnym wykombinowanym przez siebie języku w krótkim czasie dorobił się wózka z lodami... .

### Przereklamowane „gelati" i otwarte tłumiki

Lody włoskie słyną z dobroci na całym świecie. I słusznie ponieważ „gelati" w Warszawie czy New Yorku są istotnie doskonałe, czego nie można jednak powiedzieć o włoskich lodach we Włoszech. Poza nielicznymi „cremeriami", w których najrozmaitsze cassaty, „coppy" (mrożone owoce z kremem!), „frappe" (kawa mrożona) są rzeczywiście wspaniałe, przeciętne gelati wodniste, mdłe i niczym nie przewyższają naszych wiechowskich lodów „zezmonta".

Tym niemniej Włosi pochłaniają niewiarygodne ilości gelati, siedząc całymi dniami w kawiarniach pod gołym niebem i wdychając z rozkoszą zapach benzyny. Ciekawa jest „dwutorowość" cen: ciastko czy lody zjedzone na stojąco przy bufecie kosztują znacznie taniej niż przy stoliku. Tym niemniej Włoch woli zapłacić więcej i siedzieć na chodniku, przysłuchując się hałasowi ulicznemu, z jakim nie spotkałem się nigdzie na świecie.

### Odprowadzanie do... tramwaju

Odprowadzanie krewnych i znajomych na pociąg jest znane na całym świecie, ale odprowadzanie do... tramwaju to zwyczaj wyłącznie mediolański. Na każdym przystanku można spotkać grupkę ludzi, którzy całują się z „odjeżdżającym", ażeby za godzinę go spotkać w kawiarni! Kiedy wagon rusza, powiewają chusteczki jak na podmiejskiej stacji letniskowej. Zwyczaj niewątpliwie bardzo miły, ale świadczący o tym, że nie wszędzie „czas to pieniądz". Nie jest wykluczone, że we Włoszech przyczyną, iż time nie jest money, jest gwałtowna dewaluacja lira...

Tramwaje mediolańskie są wspaniałe, długie, szerokie i aerodynamiczne, ich największą zaletą są zamykające się automatycznie drzwiczki, kiedy wagon rusza. W ten sposób Włosi, naród niecierpliwy i wysportowany oduczają się od wskakiwania i wyskakiwania w biegu. Ostatnio pojawiły się nowe wagony, długie, przeszło 20 metrów, które składają się z 3 części i wyginają się na zakrętach odpowiednio do linii szyn.

### Dyskretne domy i głodne muchy...

Dwie rzeczy rzucają się w oczy na ulicy mediolańskiej. Domy zasłonięte matami i aparaty do odganiania much.

Mediolan się odbudowuje, nie widać wszakże rusztowań, drabin i murarzy. Odbudowuje się dyskretnie za zasłoną ze słomianych mat, lub reklamowych plakatów które strzegą zazdrośnie swych tajemnic. Dzięki temu urządzeniu przechodzień zaskoczony jest widokiem nowego gmachu, który nagle ukazuje się jego oczom cały nowiutki w pełnej krasie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Poco urządzacie tę maskaradę? — spytałem znajomego architekta.

— Gdyby wytworna kobieta pozwoliła podglądać kiedy się ubiera i szminkuje także straciłaby na tym — odpowiedział z uśmiechem.

Musiałem przyznać mu rację!

Przyrząd do odganiania much jest prosty i genialny. Elektryczny automat porusza poprzeczny pręt, do którego przyczepione są kolorowe papierki. Aparat taki zainstalowany jest na każdej wystawie sklepowej, a nawet w kioskach ulicznych, uniemożliwiając muchom siadanie na produktach. Czym żywią się nieszczęśliwe stworzonka, to pozostaje ich tajemnicą...

### Hazard „za jedne dziesięć lirów"

Wieczorem uwagę przechodnia przykuwają kioski otoczone masą ludzi, dziwnie podekscytowanych. W kiosku wisi rower i aparat radiowy, a młody człowiek w białych spodniach wykrzykuje jakieś kabalistyczne cyfry i wydaje koperty... Trzeba przyglądać się dłuższą chwilę, aby się zorientować, iż jest to uliczna loteria. Dochód jej przeznaczony jest na budowę nowych domów robotniczych. Organizacja jest oryginalna i pomysłowa. Przechodzień wykupuje numerek za 10 lirów. Kiedy stu „frajerów" wykupi, odbywa się „eliminacja" i losowanie, kto z nich dalej uczestniczy w loterii. Kiedy zostaje jeden „wybraniec losu", to otrzymuje zaklejoną kopertę, w której podana wreszcie jest suma, którą wygrał. Może on kopertę rozerwać i pieniądze podjąć, ale ma jeszcze inne możliwości wygrania, oto pan w białych spodniach ofiarowuje mu „na ślepo" sumę, którą może przyjąć „na ryzyko". Waha się, zastanawia, a tymczasem pan w białych spodniach atakuje go licytując się i podwyższając wciąż ofiarowaną sumę. W rezultacie „wybraniec losu" najczęściej się załamuje i przyjmuje 1000 lirów. Wtedy dopiero otwiera kopertę i przekonywa się, że wygrał 20 tysięcy... Ale bywa i na odwrót że mając wygraną 20 lirów, można odebrać ten sam tysiąc. Pan w białych spodniach jest wspaniałym aktorem i doskonałym psychologiem. Na tym polega hazard. Publiczność bawi się cudzym kosztem i w końcu sama kupuje los „za jedne dziesięć lirów". Nie-

### „Dla panów"... i o panach

W wielu stolicach europejskich osoba pragnąca spełnić tzw. potrzebę fizjologiczną narażona jest na poważne komplikacje: musi długo a czasami nawet zbyt długo... szukać dyskretnego przybytku, błądząc po obcych podwórzach i krętych zaułkach. W Mediolanie tego kłopotu nie ma. Na każdym kroku można spotkać niewielki pawilon z blaszaną ścianką, nie dochodzącą do chodnika. Nogi osoby korzystającej z „lokalu" widoczne są aż do kolan, co nie jest ani miłe, ani estetyczne...

Czytałem kiedyś w „Szpilkach" taki dowcip. Dwóch panów stoi obok siebie w domku z napisem „Dla panów". Jeden z nich niższy odwraca co chwilę głowę szybko i nerwowo.

— Czy pan ma taki tik nerwowy? — pyta go wyższy.

— Nie — brzmi odpowiedź — tylko pan bryzga.

Dowcip ten nabiera specjalnej aktualności w Mediolanie!

Skoro już zboczyliśmy na panów, to muszę mediolańczykom chociaż parę słów poświęcić (o mediolankach nie czuję się na siłach pisać...). Nasz elegant z Marszałkowskiej czy z Piotrkowskiej wygląda tu jak „diadia Wania" z prowincji...

Przyjrzyjmy się tutejszym modnisiom mediolańskim od „stóp do głów". A więc przede wszystkim stopy są w dużej odległości od chodnika, izolowane odeń grubą gumową podeszwą. Tak grubą, że kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem byłem przekonany, że to obuwie „ortopedyczne"!

Marynarka, króciótka, obcisła z ramionami bez odrobiny waty nadaje sylwetce męskiej charakter cherlaka, a rozchodzący się pod kątem rozwartym kołnierzyk koszuli traci myszką wyciskając piętno staroświecczyzny.

W ten sposób doszliśmy „do głów", które odznaczaja się bujną czupryną pachnącą pomadą, błyszczącą jak karoseria nowiutkiego samochodu...

**ALEKSANDER ROSTEN**

*Halina Maria Dąbrowolska*

# ROZMOWA

Łaskawość przypadku pozwoliła Julii po powstaniu uciec i dostać się do wsi znajomej. Zamieszkała teraz u Brygidy w szopie włóczęgów. Nie zachodził tu paw, i kot. Nie było widać dziewann. Naprzeciwko w strzesze obory ptaki robiły dziury, mając tam gniazda. Chata obecnie była miejscem noclegu różnych przechodniów. Ludzie wypędzeni z miasta mieszkali tu stale. Nie było łóżek. Julia spała na ziemi, krzesło zastępowało stół. Tynk u dołu ściany odpadał ukazując glinę i z pomiędzy belek często oczy szczurze.

Dom chwiał się i pęczniał, rozsadzony elementem ludzkim, wiatrem historii. W tej rozsypce, w całkowitej przemianie własnego losu, Julia, wbrew temu, czego wymagał od niej czas: — płynności i wymiany — poszukiwała rzeczy stałych. Czegoś, co było i będzie, czego nie można wytrącić człowiekowi jako wieczne.

A tymczasem drogami szły toboły, dźwigane przez wyschłe plecy, wlokły się wory, uwieszone na hakach rąk. Żebracy — badyle ludzkie: tacy osiadali w posiadłości Brygidy...

Najpierw, jak Julię, Brygida przyjmowała ich okrzykami współczucia. W dni parę później — strachem, że wciąż nowi nadchodzą, a wreszcie zamknięciem bramy. Ten pochód się nie kończył. Początkowo cisi i pokorni; kryli się w cień, ale zwolna przenikać zaczęli we wszystkie zakamarki, komórki, szafy i szuflady, szukając dla siebie przedmiotów cennych. Bo nagle gwóźdź, lub kawałek sznurka stawał się skarbem dla tych, co byli pozbawieni wszystkiego Instynkt posiadania, chęć, żeby od czegoś zacząć ciułać, dorabiać się, już mieć, objawiał się w zbieraniu porzuconego guzika, sprzączki, pustej flaszki, ludzie, którzy po drogach zostawiali bogate futra, którym z rąk zdejmowano kosztowne pierścionki — po drugiej stronie życia — schylali się po jedną spinkę, podnosili wyrzucony garnek.

I Julia łapała siebie na czymś podobnym. Nigdy tak nie pragnęła mieć, jak teraz, szukała uporczywie dopełnienia **siebie w sprzęcie, w narzędziach.**

Bo człowieka określa i wyznacza mu miejsce materia. Cóż modeluje duszę? pytała siebie. To stara srebrna solniczka matki zostawiła odcisk w sercu, jak przedpotopowa roślina w węglu. Jakże ciężko być bez wczoraj, rozpoczynać swój los od zaraz. Ciągle się rodzić, z niczego. Nie być nawozem pod ciągłość biologiczną i kulturalną. Być tylko cieczą, którą się przepuszcza przez puste koryto. Zaledwie żyła, pragnęła gromadzić, posiadać dawać.

— To znaczy, że chcę mieć własność? I jej utrata tak mnie boli? a przecież walczyłam przeciw niej tyle lat...

Często Brygida wołała Julię, siadywały, jak poprzednich jesieni — na tarasie, przebierały fasolę czy borówki. Brygida odnajdywała siebie w pracy. Dziś kazała dzielić główki maku na różne kolory ich ziarnek. Przy braku miejsca, naczyń, w obecności tylu ludzi, gdy z bliska dudniły działa — miało to swoją magię gorszącą, ale także coś z niestawalności pracy. I to, że szczegół jest panad całość.

W spiżarni Brygidy stały ponumerowane woreczki nasion z dokładnymi napisami nazw, pudełka skatalogowane pełne lekarstw. Na trawniku ktoś oczyszczał starannie meble, drzewo ich pociągając politurą.

Gdy Julii mieszkanie zmieniło się w popiół, przedmioty widziała inaczej — upodobanie w nich nie wydało się jej już tylko filisterstwem.

Jak człowiek, który umarł, żyje w kimś drugim, kochance, dziele — tak samo przedmiot, który przebył z kimś lata, stał się współdziałającym z nim w pewien sposób. Spalony nie znikał doszczętnie.

Rzecz jest naszym lustrem, rozważała Julia, sprawdzianem naszej jakości, nie można jej lekceważyć. Być bez materii? — Ona jest nicią uziemienia człowieka. I cóż? Brygida obrosła sprzętami, jak mchem, mając nienaruszony dom. Ona nic nie wie, co to jest nie mieć szczoteczki do zębów, pióra, którym się pisało, biurka, własnych książek...

— Nie mieć rzeczy — mówiła Julia — to znaczy być odartym z sierści, skóry. Jest w tym wstydliwa nagość.

Właśnie Brygida, przesypując kaszę w słoiki, żeby nie stęchła — przeczyła.

— Posiadać, cóż to za kłopot. Ileż razy pragnęłam się pozbyć tego co mam. Majątku. Uprościć sobie życie. Być uczciwszą. Wielu ludzi tego pragnie. Wierz mi.

— Muszę mieć coś wzamian, co wyrównuje, równoważy przedmiot.

Starsza pani spojrzała na tę w pełni sił, rozłożyła ręce.

— Na starość jest się rabem swojej krowy, garnituru mebli, futra, które zjadają mole.

— A ziemia, majątek przerwała Julia.

— Ziemia, czy stawy nasze — to zawsze wyrzut sumienia, że się komuś nie dopłaciło, kogoś

**FRAGMENT POWIEŚCI P. T. „UKRYCI"**

skrzywdziło. Potem wstyd, że się je białe pieczywo, gdy dla innych leży chleb czarny. Nic to nie znaczy, że mam; nigdy nie wkładałam lepszych sukien, jeżdżę tylko wózkiem, buciki noszę podarte. Czy nie sądzisz, że mieć się lepiej jest nietaktem wobec drugiego, który nie ma... Jeżeli nawet jest zbrodnią...

— Ach, na to nie mam siły! Niech zabiorą. Raz przestanę się wstydzić uprzywilejowania.

— Czy naprawdę tak czujesz szlachetnie? Ja bo nie.

— Nieraz ogarnia mnie przestrach, — westchnęła Brygida, kim ja się staję, kiedy zobaczę kogoś, co mi wycina drzewo z lasu. Chcę go bić wówczas kijem. Wolę nie mieć i nie bronić. Sama w skrytości czuję się złodziejem, który zabiera głodniejszemu. Dlatego nie lubię pogorzelców, bo jestem winna wobec was, że mam, a nie umiem oddać.

— Więc reforma rolna. Przymus.

— Tak.

—Wy nie macie tak dużego majątku, żebyś musiała stąd odejść, nie stracicie wiele.

—Tak, tu nie, ale mamy ziemię w lubelskim, ten obszar jest duży. — zamyśliła się Brygida.

— Nigdy nie mówiłaś mi o tym folwarku, słyszałam od znajomych, ale nie wierzyłam. Dlaczegoś to ukrywała?

— Dopiero teraz jakbym zrozumiała. To był wstyd.

— Tak, twój mąż w młodości był bardzo czerwony i ty także. A późniejsze wasze bogactwo...

— Ależ tak nas nie sądź, nie jesteśmy bogaci, tyle obowiązków...

— Ach, tak już jest, że lepsi ludzie nie chcą przyznać się do pieniędzy. Bo my pamiętasz, zawsze byliśmy biedni. Przedmioty utracone, które tak kochałam, nie były kosztowne, ale raczej cenne, stanowiły moją powłokę, jakby powietrze. Były jak przyjaciele — Julia umilkła.

Powoli zbliżał się do rozmawiających koń łagodny. Kary. Jak wielki pies składał głowę na balustradę tarasu. Dziwił się trochę kobietom i czarnymi wargami brał ostrożnie pomidory i jabłka. Potem znieruchomiał i sterczał łbem wewnątrz — milczący świadek ich czynności.

Dziewanny zamykały żółte kwiaty. Nadbiegła Irena i brała wodę do polewania warzyw. Studnia głęboka w zmniejszonym lusterku podawała jej twarz, razem z wiadrem wody.

— O czym mówicie? zapytała, śliczna dziewczyna, dźwigająca pełne polewaczki.

— O przedmiotach...

— Julia pewnie znów o duszy antyków?

— Mnie to po prostu śmieszy, wołała dziewczyna, żadnej nie zwracam uwagi na to, co mnie otacza, na czym śpię, co jadam. Lubię co modne i powszechne. W tym najlepiej się czuję. I raczej nie przywiązuję się do niczego. Może wolę, raz kupować, wyrzucać zużyte. Nie chcę gromadzić, nie rozumiem tego. Niech mają więcej inni.

— Miło jest zapełnić własne gniazdo, wtrąciła Julia.

— „Gniazdo". Mówicie przedpotopowym językiem, — śmiała się Irena. Moim ideałem jest hotel. Celowość, wygoda, nic nie chcę mieć na stałe, — i odeszła z pełnymi wiadrami u ramion.

Patrzyły za znikającą.

Nie poznaję cię Julio, zaczęła znowu Brygida. Tyle ludzi umiera, jest nieszczęśliwych, a ty o martwych rzeczach...

— Nie przeczę, to prawda, tylko ja dziś chcę w sobie rozważyć **rolę przedmiotu.** Wiesz, do miłości rzeczy martwych można nawet podciągnąć pojęcie ojczyzny.

— Jakto?

— Materii wprost. Gdy kocham swój kraj, to właśnie grupy domów, koleje, fabryki, sklepy, kościoły narzędzia pracy. Kraj, to zbiorowisko rzeczy: betonu, żelaza.

— Na, a przyroda?

— Wieś? Kocha się w niej rzeczy martwe. Drzewo, rzekę, zboże.

—Ależ Julio, Ojczyzna, to przede wszystkim ludzie.

— Właśnie chcę spojrzeć inaczej. Ile człowiekowi rzecz użycza swego bytu, albo przeciwnie: rzeźby Wita Stwosza więcej są warte od niejednego człowieka...

— Nie zgadzam się na to! Mówisz herezje!

Chcę usprawiedliwić materię i...

— I własność. Jesteś Julio bardziej zacofana, niż ja, dziedziczka.

— Może.

Brygidę odwołano. Zawsze była przy udoju krów. Szła ociężale, ubrana gorzej niż jej służba, mimo że pełne szafy miała sukien. Widać ją było długo na ścieżce w sadzie.

Cyjeś wychudłe ręce wysuwały się przez płot do ogrodu po parę śliwek. Brygida podbiegła i odpędzała, słychać było jej podniesiony głos.

— Idą, jak po swoje. Czy to wasz ogród? Jeszcze mój. Uciekać mi zaraz.

Tymczasem krowy na podwórzu same rozdzielały się, jak pary w kontredansie, na prawo szły dworskie, na lewo fornalskie. Jedna z młódek zgubiła kierunek. Brigida karciła za to pastucha.

Jalia patrzyła na to z niechęcią. Aż tu po długiej chwili zza ogrodzenia zaczął się przesuwać znany jej dobrze tłum, ten z którego tu wyszła. Kobiety w łachmanach, pochylały się, żeby z drogi podnieć porzuconą szmatę, która mogła się im przydać. Mężczyźni zbierali napotkane żelazo w odłamkach, ażeby tylko zacząć, móc budować, mieć.

Gdy pochód zwalniał, wielu osuwało się na ziemię, siadało pomiędzy spódnicami idących kobiet, deptani butami mężczyzn. Na okrzyk wrogów, wstawali podnosili się i tak natychmiast stali się stadem. I jeszcze nawet gorzej — przypomniała sobie swój stan Julia, schodzili na najniższy stopień istnienia: — rzeczy martwej.

Dziś oddalona, bezpieczna, widziała czyjąś subtelną twarz, która wyzierała jakby z dwóch wielkich oślich uszu. Tu na karku, człowiek ten w poszwie od kołdry niósł swoje rzeczy, po obu stronach ciała, aż do ziemi, wlokły się białe wory. Większość toczyła przed sobą wózki ciężkie ponad ich siły. Trzech mężczyzn na stołeczku zrobionym z rąk unosiło skrzynkę. Jeden z nich mdlał i padał parę razy, jednak podnosił się zaraz i dźwigał ten jakiś swój skarb — właśnie, za który gotów był umrzeć.

Reszta miała już małe paczki, moje, swoje, własne...

Pamiętała Julia, że pierwszej nocy, gdy tak stała, jak oni, jak orzech wyłuskana z tego, co posiadała, co ją otaczało, jednak odnalazła coś z siebie dawnej, oto, gdy położyła się na barłogu — trafiła na stary swój sposób spania na prawym boku. Więc miała coś ocalonego z siebie — nawet w więzieniu — miała swoją własność: ten gest...

Julia wstała, nie chciała się spotkać z Brygidą, odchodziła od chaty. Kwiaty już zasypiały, pachniała tylko maciejka.

Z kieszeni wypadł jej mały skórzany notes, dar od zmarłego ojca, jego list, i droga niegdyś sercu fotografia. Jeszcze jedna odmiana, westchnęła, przedmiotów: to pamiątki. Czy przedmioty naprawdę nie są ludzką formą? One nas wyrażają, zastępują, zdradzają nasze ja. Przedmioty wyznaczają nam miejsce na ziemi pomimo wszystko, legitymują i usprawiedliwiają **w dziele.** Jakże się bronić, odrzucić je. One wypełniają, co jest między człowiekiem, a człowiekiem.

Buntować się przeciw materii... Może ona jest metafizyką naszych czasów.

Tak myślę: Julia pojęła nagle, **że właśnie myśl, pojęcie, idea jest ostateczną własnością ludzką: Moim bogactwem, stwierdziła.**

Uspokojona, roześmiana siadła na progu. To jedno: — **myśl — można mieć nie krzywdząc, mieć własną i ponad przedmiot.** Pogodnie patrzyła, zalana różowym słońcem, które już przymykało powieki.

(Dokończenie ze str. 3)

ciszej nawiązać urwany dialog ze swym niemieckim towarzyszem.

Za chwilę będzie łamał rozpaczliwie język nad tymi trudnymi polskimi nazwami. Dawniej było tak ładnie i łatwo: „Waldenberg". Aber heute ist Walbrzik. I z niezłym trudem powie to przecież. Po polsku.

Sapiąc ciężko pociąg wtacza się na dworzec w Wałbrzychu.

• •

Chłop z Wołynia. Patrzy na mnie nieufnie, spodełba. Obok niego czepia się ojcowskich portek umorusany, może ośmioletni brzdąc.

— A skąd wy, gospodarzu?

— Nie gospodarz ja żaden, panoczku. Rypatryjant spod Dubna.

— No i zagospodarowaliście się już tutaj. Jak tu, można żyć?

Pochmurnieje. W oczach znów błyska nieufność.

— Tak co, żyć wszędzie można.

Papieros ożywia rozmowę.

— Ale ja tu nie na swoim. I dobytku mało. Co ja z jednym kuniem zrobię. Tam to ja i swoją babę miał. A teraz bez kobity ciężko.

Miał tam, „na swoim" 7 mórg ziemi. Tu dostał 17. Inwentarz istotnie nie bogaty: 1 koń, krowa z cielakiem i 3 świnie. Tam miał tylko krowę i wieprzka. Krowa orała, woziła i nie chciała, uparte bydlę, mleka dawać. W czterdziestym czwartym roku zmarła mu żona, „na piersi" chorowała. Przyjechał tu rok temu z kilkunastoletnią córką i z tym malcem, co mu się teraz koło butów pęta. Ma domek z kuchnią i dwoma izbami, ze światłem elektrycznym. Nie bardzo wie, co z tym robić. Zbyt długo zapewne dzielił tam „na swoim" zapałkę na trzy części. Mieszkają we trójkę w kuchni. Do niedawna świnie też się tam lokowały. Aż przyszedł taki jeden, „miejski" i kazał mu świnie do chlewa zagnać. Pewno! Co taki „kapelusiowy jenstruktor" może wiedzieć o tym, że świniom zdrowiej w chałupie i że więcej słoniny mają.

Malec się z dołu przypatruje, z otwartą buzią. Dostaje cukierka. Pakuje go natychmiast, w papierku do ust. Upycha go i ssie razem z palcem.

— No, a tobie tu dobrze? Czy tam było lepiej? — ryzykuję trochę bezsensowne pytanie.

Malec chowa głowę w ojcowe portki. Powtarzam pytanie.

— Gdzie?

— No tam, skąd przyjechałeś.

— Gdzieee? — głos już jest trochę płaczliwy.

— Ot, ty durny. No tam, gdzie mama była — śpieszy z pomocą ojciec.

Malec nic nie odpowiada. Wyrywa się nagle spłoszonym ruchem i biegnie w stronę domu. Idziemy powoli za nim.

Dzieciak otwiera drzwi. Wspina się na palce i przekręca kontakt elektryczny. Buzia mu się nagle rozjaśnia.

Stary burczy na niego, ale jest zadowolony.

— Taki psotny. Wciąż by tylko światło psuł. — Może i jenżynier będzie — dorzuca ni to ironicznie, ni to z nadzieją w gosie.

Gdy po kwadransie żegnam się z gospodarzem, przepraszam z „rypatryjantem", widzę że coś jeszcze chce powiedzieć.

Decyduje się w końcu:

— A my tu zostaniem, panoczku! Bo tak różni gadają. A to już i zasiane, i dzieciaki przywykli. Ja tam już za stary — macha ręką.

• •

# NA NOWYCH KRESACH

— Przejęliśmy fabrykę 7 lipca 1945 roku. We Wrocławiu — jak wiadomo — prowadzono długotrwałe walki. Przez szereg tygodni fabryka była pod stałym obstrzałem artyleryjskim. W chwili przejęcia zanotowaliśmy następujące szkody:

w budynkach fabrycznych — około 30 procent,

w oszkleniu — 100 procent,

w parku maszynowym, urządzeniach technicznych i instalacjach — około 80 procent.

— Brakowało 424 obrabiarek, 694 silników, nie znaleziono żadnych narzędzi. Zniszczeniu uległy w olbrzymiej większości zapasy surowców i materiałów produkcyjnych...

Padają suche cyfry, daty. Głos inżyniera jest nieco monotonny. Siedzimy w jasnym gabinecie, w budynku dyrekcji Pafawagu. Państwowej Fabryki Wagonów we Wrocławiu.

Spoglądam przez okno. Olbrzymi, rozległy teren fabryki lśni się w słońcu i śniegu. Stoją jedna obok drugiej czyściutkie, świeżutkie hale fabryczne. Dymią kominy. Kręcą się auta, uwija się mrowie ludzi. Czyste, jasne ściany. Całe, oszklone okna. Ani jednego zadraśnięcia na murach.

Co mi tu jakieś bajdy opowiadają?

— W lipcu 45 roku weszła na teren fabryki pierwsza „siódemka" Pafawagu... — głos inżyniera ożywił się nieco — Może pana zainteresują zdjęcia ówczesnego stanu fabryki — podsuwa mi jakieś fotografie.

Zaczynam przeglądać. I odrazu, magicznym sposobem przenoszę się w te tak niedawne i tak pamiętne miesiące.

Stosy rumowisk, olbrzymie hale zasypane gruzem. Z oszklonych niegdyś ścian pozostały żałosne, powykręcane konwulsyjnie resztki ram. Wybite, wyłamane i pogruchotane stropy wiszą na słowo honoru ponad pogiętymi, wypaczonymi i podziurawionymi podłogami. Oto sala transformatorów. Roztrzaskane płyty marmurowe, rozbite w proszek precyzyjne tablice rozdzielcze, poskręcane, porwane przewody i kable.

Oto Hala Wydziału Mechanicznego — niegdyś serce fabryki. Zdjęcie jest mało efektowne. Po prostu olbrzymia, przeszło stumetrowej długości przestrzeń, zupełnie... pusta. Puściutka! Ani jednej maszyny, ani jednej obrabiarki. Goła podłoga betonowa, parę kawałków żelastwa. I to wszystko.

W kwadrans później oglądam tę halę. Wśród gęsto ustawionych, precyzyjnych obrabiarek uwijali się robotnicy. Szczęk i szum głuszył słowa mego informatora. Znad walców, kół i pasów transmisyjnych unosiły się pochylone głowy.

— Ocho! Znów goście przyszli.

W hali produkcji węglarek kończy się już praca. Ustaje olbrzymia taśma, na której z jakichś żelaznych żeber, ciężkich kół, desek i fioletowych płomieni powstają wagony. Na torze wyjazdowym stoją 24 węglarki — dzisiejsza dzienna produkcja. Pachną jeszcze farbą, są czerwone, popstrzone śnieżno - białymi napisami, nowiutkie, apetyczne.

Historyczna już „siódemka" Pafawagu zwerbowała półtora roku temu robotników: 400 Niemców i 200 Polaków. Dziś pracuje tu 5.000 osób — ani jednego Niemca. Jednocześnie budowano fabrykę, remontowano, zwożono maszyny, szkolono robotników i majstrów i jednocześnie — rzecz nie do wiary, produkowano. I jednocześnie przestawiano cały skomplikowany system produkcyjny na wzory polskie. I jednocześnie reperowano, łatano rozpaczliwie dziury w warszawskim taborze tramwajowym, w kolejowym taborze osobowym.

Jednocześnie ulokowano robotników w pięknych, podmiejskich osiedlach, otwarto szkołę powszechną, szkołę zawodową, liceum i kursy dokształcające dla robotników. Jednocześnie zagospodarowano dwa ośrodki wypoczynkowe, uruchomiono spółdzielnie, założono klub sportowy, który zdążył zdobyć mistrzostwo Dolnego Śląska w piłce nożnej.

Już wychodzi z fabryki pierwszy polski tender. Już wre praca nad uruchomieniem olbrzymiej taśmy, na której montować się będzie 30 wagonów osobowych miesięcznie, 30 lśniących, polskich pulmanów według zupełnie nowego, polskiego wzoru. Niemieckie schematy węglarek poszły już też do lamusa.

Od lipca 1945 roku upłynęło 18 miesięcy.

---

Na dalekim mglistym Zachodzie, wielki przyjaciel Polski, mister Winston Churchill oświadcza, że przez oderwanie niemieckiego Wschodu utworzono na mapie Europy pustą, białą, bezludną plamę. Że krzywda się dzieje europejskiej gospodarce.

Na dalekim mglistym Zachodzie, wielki generał polski, Andres oświadcza w przededniu konferencji moskiewskiej zagranicznym dziennikarzom:

— Polska nie jest zdolna strawić terenów poniemieckich na olbrzymiej przestrzeni aż do Odry, ani z punktu widzenia rezerw ludzkich, ani z punktu widzenia materialnego. Nie wierzymy ani w możliwość asymilacji pozostałych tam Niemców, ani w siłę ekonomiczną Polski dla przedsięwzięcia reorganizacji terenu tak bardzo bogatego pod względem przemysłowym i rolniczym, lecz tak bezwzględnie zniszczonego.

— A my tu zostaniem panoczku!

**Karol Małcużyński**

---

# BEZ NAWIĄZANIA

Zmorą pisania dziennikarskiego jest tzw. „nawiązywanie". Artykuł czy felieton musi być koniecznie aktualny, świeżutki, a więc „nawiązany" do wydarzeń, żywo obchodzących ogół czytelniczy. Jeśli zaś autor chce dotknąć spraw nie bieżących, lecz minionych, musi również „nawiązywać": do jakiejś rocznicy, do czyichś urodzin albo śmierci.

Przypomina się tu Rudolf Starzewski w anegdocie Witolda Noskowskiego — Starzewski znakomity niegdyś redaktor „Czasu", odkrywca wielkości „Wesela" Wyspiańskiego, mistrz dziennikarski Boya, który mu poświęca w swej książce „Znasz-li ten kraj?" wiele serdecznej uwagi. Noskowski opowiada, że gdy współpracownicy „Czasu", przed napisaniem artykułu pytali swego redaktora: „do czego nawiązać?" — ten z uśmiechem pouczał: do czego się panu podoba, z warunkiem, że — jak prawnik wobec każdego zagadnienia pyta: „quid iuris?", tak dziennikarz polski powinien zapytać siebie: „quid Poloniae?" — co stąd dla Polski? — I myśmy się uśmiechali w odpowiedzi — pisze Noskowski: — to niby coś jak słoń i sprawa polska? — W każdym żarcie jest przynajmniej połowa prawdy — decydował z powagą Starzewski.

Wspomniałem „Wesele", i przyszło mi do głowy napisać parę słów o Wyspiańskim. Do czego by tu nawiązać? Nie jestem pewien, czy przepis Starzewskiego wystarczy nowoczesnemu czytelnikowi. Ach, prawda... Wyspiański umarł w r. 1907: w jesieni przypada czterdziesta rocznica jego śmierci. Jest więc nawiązanie. Zwyczajom i obowiązkom dziennikarskim stało się zadość. Mogę już pisać, co mi atrament na pióro przyniesie.

Wyspiański był odludkiem, mizantropem (jeśli te banalne określenia oddają istotę rzeczy) i samotnikiem. Wszyscy, którzy go znali, stwierdzają, że nawet w rozgwarze artystowskiej kawiarni, gdzie zdawałoby się pryskają nieczułe lody, siadywał zawsze przy osobnym stoliku, zawsze czarno ubrany, zapięty na wszystkie guziki, milczący, ironiczny i daleki. Była w nim rzeczywiście jakaś „splendid isolation". „Patrzył zawsze przed siebie wzrokiem zamglonym, zimnym i przenikliwym" — powiada Tytus Czyżewski. „Ludzi trzymał z daleka od siebie — rozpamiętuje go Stanisława Wysocka: — a zarazem zdawało się, że ich przeziera na wylot, że zdziera z nich nałożone maski. Jego odruchowe zapinanie czarnego surduta na wszystkie guziki było odgradzaniem się od wszystkiego, co małe". Żeromski mówi brutalnie, że oczy Wyspiańskiego były „zimne, zawzięte, niemal nienawistne". Nawet na bronowickim weselisku Rydla nie rozruszał się Wyspiański. Boy wspomina, że całą noc „stał oparty o futrynę drzwi, szczelnie zapięty w swój czarny tużurek, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma" — obcy na pozór wszystkiemu, co się dokoła działo. Ale w ten sposób zrodził się jeden z największych dramatów w literaturze polskiej.

Teraz puszczę wodze fantazji, skojarzę rzeczy niemające żadnych związków ze sobą i wyciągnę z tego wnioski, nieoparte na żadnej logice. Oto Wyspiański, człowiek stroniący od ludzi, spoglądający na nich „bezlitośnie z wysoka", żył najbliżej, w najściślejszych węzłach przyjaźni i miłości, z czworgiem ludzi, żył — zdawałoby się — najbardziej paradoksalnie, nieprawdopodobnie i nawet niestosownie. Pierwszym z tych ludzi był Lucjan Rydel — cóż za przeciwstawność Wyspiańskiego! Nieopanowywany, chorobliwy gaduła, powierzchowny poeta, a raczej wierszopis, zabawny chłopoman, spacerujący po Bronowicach w cwikerze i na bosaka — słowem, figura komiczna. Drugim wybrańcem Wyspiańskiego był Wilhelm Feldman, o którym pisze Boy, że nie miał ani krzty poczucia ironii i humoru, a którego Wyspiański „bardzo kochał i godzinami z nim przestawał", jak podaje w swych wspomnieniach wdowa Wyspiańskiego, z drugiego męża pani Waśkowa. I Feldman był tym, który do ostatniej chwili przesiadywał u łoża poety, rażonego nieuleczalnie paraliżem, i oczy mu zamknął, szepcząc, blady jak śmierć, jedno tylko słowo: „odszedł..." Trzecim druhem Wyspiańskiego był Stanisław Lack, smutny, kaleki filozof, tragicznie bezowocny myśliciel, hermetyczny mistyk. Wreszcie czwarta w tym gronie — kobieta: żona poety, niezwykła dziewucha wiejska, którą tylekroć malował rozkochany: jej nieco skośne oczy wiejskiej piękności, patrzące zadziornie, jej czerwone wargi i pospolity, tępy nos: widać z portretów, że musiała być jurna, gorąca i pierwotna. Oto czworo ludzi, najbliższych Wyspiańskiemu, i pomiędzy nimi on — w czarnym tużurku, zapiętym na wszystkie guziki, on — z oczami, które są zimne i zawzięte.

Mickiewicz w swych prelekcjach paryskich wykładał o „przyszłym słowiańskim dramacie narodowym", za którego zwiastunów uważał współczesnych sobie Krasińskiego i Puszkina. Czym ten dramat powinien być? — pytał Mickiewicz i tłumaczył, że powinien on łączyć i zespalać różne, nawet przeciwne sobie elementy, albowiem trud pisarza — a trudem tym jest „tworzenie" — polega na ujarzmianiu żywiołów i jednaniu sprzeczności. Więc w wielkim dramacie słowiańskim powinna się znaleźć ludowość, „przebiegająca cały rozmiar poezji od piosenki do epopei", to naiwna i pospolita, to zabawna i śmieszna, to smutna i żałosna — „brząkająca różnogłośnymi struny". Towarzyszyć jej musi myśl głęboka i ważna, idea doniosła i wszechogarniająca; w parze z ideą postępuje objawienie jakieś ze światów nadzmysłowych i nadprzyrodzonych, mistyczne i tajemnicze; a te różne pierwiastki godzić należy z żywiołem wiecznie płodnego życia, z jego bujnością i plennością. Któż to wszystko ujarzmia i godzi? Artysta czyli twórca czyli mistrz—„ein Meister", jak powiedział Goethe, ukazujący swą potęgę „in der Beschränkung" — w szrankach twórczości, zakreślonych sobie samemu własną wolą, zdolny do wiązania wszelkich elementów w nową całość czyli w dzieło sztuki, stojący ponad elementami, samotny, daleki wszystkim, zimny na pozór i obojętny.

Podobno Wyspiański — przy całym swym teatralnym rewolucjoniźmie — w „Weselu", w „Wyzwoleniu", w „Nocy listopadowej" i w innych swoich dziełach tworzył ten przyszły dramat słowiański, którego wizję i przeczucie miał Mickiewicz w lekcji XVI, wygłoszonej dn. 4 kwietnia 1843 r. w Collège de France. I oto cztery „elementy dramatu", przewijające się przez życie Wyspiańskiego: Rydel — ludowość, brząkająca różnogłośnymi struny; Feldman — zaciekłe, talmudyczne — powiedziałbym — doszukiwanie się idei; Lack — mistyka i nadprzyrodzoność; żona — pierwotność, wrzącość i rozrodczość życia. Pomiędzy nimi on — artysta tworzący, który dobrał sobie czworo ludzi, aby go zapładniali i byli symbolicznym uosobieniem sprzeczności, z jakich powstaje dramat. On pozostał. Oni prawie już odeszli w niepamięć, spełniwszy swe przeznaczenie.

**JERZY WYSZOMIRSKI**

# WYSTAWA PACZEK AMERYKAŃSKICH

**Spółdzielnia przesyłania amerykańskich paczek dla Europy CARE dzięki uprzejmości „Społem“ urządziła wystawę wszystkich rodzajów paczek dostarczanych obecnie do Polski.** Wystawa ta mieści się w oknie sklepu Federacji Spółdzielni przy Al. Sikorskiego róg Brackiej. Umieszczone tam są paczki żywnościowe, paczki z kocami, kuponami wełnianymi, bawełnianymi, paczki z wełną, do robót na drutach, bielizną pościelową, wyprawką dziecinną i paczki żywnościowe dla osesków i niemowląt.

CARE pracuje w Polsce na podstawie umowy z rządem polskim. CARE jest organizacją nieobliczoną na zysk, zorganizowaną przez amerykańskie organizacje pomocy, ażeby umożliwić obywatelom zachodniej półkuli przesyłanie żywności i innych artykułów przyjaciołom i krewnym w Europie. Znaczny procent darów CARE otrzymują instytucje. Wszystkie paczki wystawione kosztują amerykańskiego ofiarodawcę 10 dolarów. Dostawa jest gwarantowana. W razie jeżeli adresata nie można odnaleźć, pieniądze są zwracane ofiarodawcy.

W Warszawie paczki są dostarczane przez warszawskie biuro CARE. Poza Warszawą paczki są przesyłane pocztą, jako przesyłki wartościowe z Gdyni przez SPOŁEM, działające jako agencja CARE.

Centralne biuro CARE w Ameryce mieści się w New York, 50 Broad Street.

Zlecenia na paczki do Polski przychodzą do New Yorku z całego świata, gdzie tylko osiedlili się polscy emigranci, włączając Egipt, Kanadę, Chiny i wiele krajów Ameryki Południowej. Życzliwa współpraca wszystkich przedstawicieli polskich władz przyczynia się do powodzenia naszej pracy. Najczęściej mamy kontakty z Ministerstwem Przemysłu i Handlu, Ministerstwem Pracy i Opieki Społecznej, Departamentu Ceł Ministerstwa Skarbu, oraz Związkiem Gospodarczym Spółdzielni R.P. „Społem“.

Amerykańska Rada Reklamy podjęła się bezinteresownie reklamy CARE w Ameryce. Do tego należą audycje radiowe, plakaty na drogach reklamy w oknach samochodów i wagonów. Celem tej reklamy jest stałe przypominanie Amerykanom o nędzy w Europie i zapoznawanie ich w jaki sposób przez CARE mogą bezpośrednio dopomóc poszczególnym jednostkom i instytucjom. „PACZKA CARE JEST PACZKĄ DOBREJ WOLI“.

**Jak pracują oddziały „Społem“**

## Oddział Powiatowy w Łowiczu

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni RP „Społem“ w Łowiczu, Rynek Kilińskiego 5, istnieje od 1937 r. Oddział zaopatruje w towary 60 spółdzielni rozsianych na terenie całego powiatu, zatrudniając 49 pracowników.

Obok działu spożywczo - kolonialnego Oddział prowadzi następujące hurtownie: soli, wyrobów P.M.S., wyrobów tytoniowych i zapałek.

Ożywioną działalność handlową Oddziału najlepiej ilustrują jego obroty, które w trzecim kwartale roku ubiegłego wynosiły 32.756.000 złotych, a w czwartym kwartale tegoż roku podniosły się do 71.572.000 złotych. Na styczeń br. preliminowano obroty w kwocie złotych 22.480.000, a osiągnięto zł 27.870.464.

Oddział pracuje w fatalnych warunkach biurowych i magazynowych. Zarówno biuro, jak i dzierżawiony magazyn są zbyt szczupłe i zupełnie nie odpowiadają potrzebom Oddziału. W roku ubiegłym kosztem sześciu milionów zł nabyto nieruchomość przy kolei, składającą się z domu mieszkalnego i 3-morgowego placu. Dom w roku bieżącym zostanie przebudowany na biura Oddziału, a na placu zbudowane zostaną: obszerny magazyn o pojemności 150 wagonów, stacja naftowo - benzynowa, garaże i własna bocznica kolejowa. Ogólny koszt tych robót wyniesie ponad 40 milionów złotych.

Powiat łowicki — to ośrodek o charakterze wybitnie rolniczym. Ludność powiatu jest uspołeczniona. Toteż ruch spółdzielczy ma tu dobre warunki rozwoju. Świadczy o tym praca poszczególnych spółdzielni, które rozwijają się pomyślnie, a wiele z nich jeszcze w roku bieżącym rozpocząć ma budowę własnych domów.

Jeżeli Oddział w swoich pracach osiągnął tak dobre wyniki, to jest to zasługą całego zespołu pracowników, którzy mimo złych warunków biurowych pracują naprawdę ofiarnie. (a)

## Oddział Powiatowy w Kutnie

Oddział Powiatowy „Społem“ w Kutnie istnieje od 1925 r. i mieści się we własnym domu przy ul. Kochanowskiego 24. W okresie okupacji niemieckiej Oddział musiał przerwać swoją działalność albowiem Kutno przyłączone zostało do Rzeszy i weszło do obszaru tzw. „Warthagau“.

Po oswobodzeniu Kutna Oddział w lutym 1945 r. wznowił swoją działalność. Oddział zaopatruje w towary wszystkie spółdzielnie powiatu w liczbie 40-tu, zatrudniając 73 pracowników. Obok działów spożywczo kolonialnego i włókienniczego Oddział prowadzi rozlewnię octu spirytusowego, produkującą 15.000 litrów miesięcznie oraz następujące hurtownie: soli, wyrobów P.M.S. i wyrobów tytoniowych. Referat mączny Oddziału posiada pod swoją kontrolą 8 młynów i na zlecenie Ministerstwa Aprowizacji prowadzi akcje aprowizacyjną Warszawy i Łodzi. Referat miesięcznie odbiera około 200 wagonów zboża i wysyła 180 wagonów mąki.

Obroty Oddziału w 1945 r. wynosiły 19 milionów złotych, w 1946 r. dały kwotę 126 milionów złotych, a na rok bieżący preliminowano je w wysokości 200 milionów złotych.

Oddział posiada własny tabor samochodowy, składający się z 3-ch wozów, z których jeden przeznaczony jest do wyłącznej obsługi spółdzielni.

Charakter powiatu jest rolniczy. Spółdzielnie stoją na wysokości zadania i są faktycznym regulatorem cen na miejscowych rynkach. Jeszcze jeden szczegół, którego pominąć nie można. Oto Oddział sprzedaje wyrobów P.M.S. na kwotę 20 milionów miesięcznie. Tak duża sprzedaż tłumaczy się tym, że na terenie powiatu nie ma „bimbrowni“.

Kierownictwo Oddziału od listopada 1946 r. spoczywa w ręku p. dyr. Ludwika Motylewskiego, który mimo stosunkowo młodego wieku, już za lat pięć obchodzić będzie jubileusz swojej 25-letniej pracy w spółdzielczości. (a)

Marian Piechal

## Zażalenie

**(List otwarty defetysty do redaktora „Rózeg“)**

**Ach, Panie Redaktorze, tak dalej być nie może!**
**Proszę tylko spojrzeć, co się dzieje:**
**jaki ścisk jest w tramwajach (czyż tak jest w innych krajach?),**
**jak się strasznie spóźniają koleje?**

**I że z tych łez na licu (czyż tak jest za granicą?)**
**Czy Pan wie, ile w ścisku nadepnięcie odcisku**
**łez wyciska z oczu biednych ludzi?**
**żadna w nikim współczucia nie budzi?**

**Czemu w kinach spluwaczek, a w barach wykałaczek**
**brak chroniczny? I kto winien temu?**
**I dlaczego publika (jak w innych republikach?)**
**nie strajkuje, by zaradzić złemu?**

**Któż to słyszał, by bułki, miast obwijać w bibułki,**
**sprzedawano wprost bez obwijania?**
**Lub w dowolnych by racjach (czyż tak jest w innych nacjach?)**
**podawano w piątki mięsne dania?**

**Czy Pan wie, z czego tyje, chociaż mniej je, niż pije**
**taki Fijas, Pasternak lub Huszcza?**
**Czemu ich szarlatańства (czyż tak jest w innych państwach?)**
**rząd bezkarnie mimo uszu puszcza?**

**Czemu nikt się nie dąsa na wiersze Ildefonsa**
**na te wszystkie „Zielone Gęsi“?**
**na ten zły w kraju klimat (czyż tak w innych regime'ach?),**
**gdzie od ciągłych deszczów chce się ęsi?**

**O nie, to nie do wiary! Znam już ten kawał stary!**
**Pan żartuje, Panie Redaktorze!**
**Marne to pocieszonko, to Pańskie powiedzonko,**
**że gdzieindziej jest jeszcze gorzej.**

## PREMIE KSIĄŻKOWE

**Administracja „Tygodnia“ przeznacza wartościowe nagrody książkowe dla tych czytelników, którzy zjednają nowych pięciu prenumeratorów opłacających kwartalną prenumeratę. W tym celu należy wypełnić załączony kupon i przesłać do Admin. „Tygodnia“, ul. Szpitalna 5 m. 8.**

**Proszę wysyłać „Tydzień“ do następujących osób:**

1 ....................................................................

2 ....................................................................

3 ....................................................................

4 ....................................................................

5 ....................................................................

**Należność za prenumeratę kwartalną „Tygodnia“ wpłacono na konto**

**P. K. O. Warszawa I-4766, dnia**

**Premię książkową proszę przesłać pod adresem:**

....................................................................

....................................................................

# KRONIKA KULTURALNA

**OFENSYWA** przeciw pijaństwu, wszczęta z wiosną w „Tygodniku Powszechnym“ przez Wojciecha Natansona, jakoś ustała. Latem rozwijała się gładko, w każdym niemal numerze „Tygodnika“, być może z tego powodu, że miała naturalnego sprzymierzeńca w upałach, które powstrzymują spożycie alkoholu. W dni jesienne krew ostyga i pragnie rozgrzewki. Niełatwo więc odciągnąć człowieka od kieliszka. Trzeba to robić umiejętnie, strzegąc się jak ognia moralizowania i śmieszności. W jednym z artykułów abstynenckich natrafiliśmy na takie oto zdanie: „Spójrzmy pod kątem alkoholu na pewien odcinek życia, a raczej śmierci — na katastrofy samochodowe, a ogarnie nas przerażenie“. Spójrzmy na to zdanie, a ogarnie nas ironia: skłonni jesteśmy twierdzić, że autor pisał je pod kątem alkoholu. Miłośnik alkoholu pobiłby na łeb na szyję takiego autora jednym wierszem Broniewskiego, tęgiego pijaka: „Zanim się serce rozełka — czemu? —a bo ja wiem? — warto zajrzeć do szkiełka w barze „Pod Zdechłym Psem“. Hulał po mieście listopad, dmuchał w ulice jak w flet, w drzwiach otwartych mnie dopadł, razem do baru wszedł... Lepiej by z trzecim kompanem... Zresztą, można i bez. — Ledwiem to rzekł, już stanął trzeci mój kompan: bies... Cyk! Kompania! Na zdrowie! Pijmy głębokim szkłem. Ja wam dzisiaj o sobie opowiem w barze „Pod Zdechłym Psem“. I poniosło, poniosło, poniosło na całego, na umór, na ostro. I listopad pijany, i bies, a mnie gardło się ściska od łez... Znów będę bił się i kochał, bujnie, wspaniale żył. Radość, a nie alkohol, wlej mi, diable, do żył... Szumi alkohol i wieczność. Mruczą: zalał się gość. A ja: zgódźcie na Drogę Mleczną taksówkę. Już mam dość...“ Wiersz nie jest bynajmniej zachętą do picia. Sam Broniewski rozpacza w nim, że w żyłach ma alkohol, nie radość. Ale wiersz dowodzi, że poetom wolno pić, pod warunkiem, iż tworzyć będą tak piękne i przejmujące wiersze. Natomiast szoferzy, rzecz oczywista, powinni unikać alkoholu — podczas jazdy.

**DOBRACZYŃSKI** w „Dziś i Jutro“ (Nr 36/93) biada nad tym, że krytyka przemilcza dziś wielu pisarzów — „niewygodnych“, np.: Oleksika, Trasika, Ożoga, Stommę, Sławińską, Trościankę i wielu innych. I pisze Dobraczyński w te słowa: „Gdyby Bąk żył we Francji, cieszyłby się sławą Rimbauda czy Verlaine'a. Gdyby taki Gołubiew urodził się w Rosji, jego książka zyskałaby popularność „Piotra Pierwszego“ Tołstoja. Gdyby żył w małej Norwegii, powieść jego cieszyłaby się sławą, jaką się cieszy „Krystyna, córka Lawransa“... Moglibyśmy dodać: gdyby taki Dobraczyński tworzył w starożytnej Grecji, jego „Najeźdźcy“ przewyższyliby „Iliadę“. Ale cóż? Gdyby... Utinam Hannibal plurimum exercitum habuisset! — powiada gramatyczny wzór łaciński na tzw. „casus irrealis“ czyli „przypadek niemożliwy“, niezniszczalny. Gdyby Hannibal miał więcej wojska, zwyciężyłby Rzymian. Ale nie miał — i nie zwyciężył. Tę samą mniej więcej myśl zawiera polskie powiedzonko: gdyby ciocia miała wąsy, byłby wujaszek.

**ALEKSANDER RYMKIEWICZ**, który niedawno wypełnił w „Tygodniu“ kolumnę swymi wierszami, wydał nakładem „Panteonu“ tom poezji pt. „Z narodem“. O charakterze i pięknie ich niech świadczy urywek jednego z wierszy: „To było nad wieczorem. Wyszedłem przed komendę, a wozy już czekały, uderzał koń kopytem. Wisiało ciężkie niebo i milczał las kamienny, milczała także wioska, pod borem złym ukryta. A na zachodzie rosła i rosła kanonada: prezentuj broń, kapralu, oto ojczyzna pada. A nagle dzwon uderzył — to z głębi ziemi dzwony: tak ziemia wita martwych, a żegna urodzonych. Nie mogłem stać na dworze — te dzwony tak huczały... Uciekłem więc do izby. Na stole pistolety. „Za wcześnie broń odkładasz i zrywasz epolety...“

**St. Łatka**

# SKLEROZA

Prosimy Czytelników o przysłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności.

Za najlepszą rzecz tygodnia

**PRZEZNACZAMY 300 ZŁ. NAGRODY**

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. Stanisław Cieślewicz (Nakło n. Notecią, ul. Staszica 10 m. 4) za nadesłanie poniższej notatki z „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" (Nr 224 z dnia 18.8.1947 r.):

**NA 110 — 3 ARESZTOWANYCH ECHA STRASZNEJ KATASTROFY.**

**Londyn (obsł. wł.). Jak donoszą w ostatniej chwili z Londynu, z katastrofy, o której donosimy na odwrotnej stronie, uratowano dotychczas jedynie 3 osoby, które same wydostały się na powierzchnię. Powiedzieli oni, że namawiali swoich towarzyszy do udania się w ich ślady, jednakże nikt za nimi nie poszedł. Uratowani górnicy ulegli rozstrojowi nerwowemu. Poza tym wydobyto 54 nieżywych już górników. Reszta jest dalej odcięta od świata.**

Dziwne stosunki panują w Anglii, jeżeli aresztuje się tam biedne ofiary katastrofy. Nic dziwnego, że ofiary katastrofy nie chciały się ratować, skoro czekało ich aresztowanie.

*

P.S.K.S. z Mielca nadesłał ogłoszenie z „Naprzodu" (Nr 228 z dnia 22 sierpnia br.), w którym czytamy:

**U W A G A!!!**

**NOWA CHOROBA INFEKCYJNA GRASUJE W CAŁYM KRAJU**

**Warszawa. — W ostatnich tygodniach zanotowano w całym kraju przypadki infekcyjnych krwawych biegunek, przypominających czerwonkę. Biegunki te jeszcze bardziej wyniszczają organizm od czerwonki i powodują niejednokrotnie śmierć. Toteż chorzy winni natychmiast zasięgnąć porady lekarskiej w Ośrodku Zdrowia, Ubezpieczalni Społecznej, lub lekarza prywatnego. Każdy, kto dowie się o przypadku choroby winien od razu zawiadomić o nim natychmiast najbliższy urdzinasąwoaoi-zo n edi szy urząd sanitarny lub Ośrodek Zdrowia...**

Zanim chory odczyta nazwę i adres urzędu, to na pewno nogi wyciągnie. Niestety, nie możemy naszemu Czytelnikowi w Mielcu podać nazwy instytucji, do której należy się zwrócić, gdyż nie znamy szyfru kolegów z „Naprzodu".

*

„Trybuna Robotnicza" (Nr 233/904 z dnia 25 stycznia br.) podaje następujące ogłoszenie:

**Uwaga Irena Myrkwa lat 12 okradła i uciekła Kto znajdzie proszony o oddanie do Milicji i powiadomienie Szary Paweł, Murski ul. Katowicka 20 rysopis: czarne włosy, warkocz, czarne oczy wysokiego wzrostu 145. 1095 I.**

Kogo, co i z kim — nie wiadomo. Współczujemy Milicji, która na podstawie takich meldunków musi prowadzić dochodzenie.


# TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.

TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715

Redakcja rekopisów nie zwraca

Prenumerata miesięczna 75 zł, pół roczna — 450 zł, roczna 900 zł.

Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4786

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej

R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12 B-36898


# KĄCIK FILATELISTYCZNY

Kiedy po długich przygotowaniach ukazała się w zeszłym roku we Francji nowa seria lotnicza, brakowało jej wartości stufrankowej, która według oficjalnego oświadczenia — wyobrażać miała „uprowadzenie bogini młodości Hebe przez Jupitera". Powodem był fakt, że przedstawiony przez głośnego artystę Gandona (twórcę znanego znaczka „Marianne") projekt został określony przez ministra poczt jako „zbyt frywolny". Gandon opracował więc na nowo rysunek i zatwierdzony wreszcie znaczek w kolorze niebieskim ujrzał światło dzienne w początku stycznia br.

Znaczek ten, który dziś reprodukujemy i który — prawdę mówiąc — niewiele różni się od pierwowzoru, wywołał w filatelistycznej prasie francuskiej wielkie poruszenie. Krytykowano i niewygodną pozycję Hebe, i jej skromne „przyodzienie", zupełnie do tej „pierwszej na świecie podróży lotniczej" nie nadające się, i wiele innych rzeczy.

Rozpuszczono też plotkę o rzekomym wycofaniu znaczka i zastąpieniu go w przyszłości innym, plotkę, która — być może — miała cele wyłącznie reklamowe.

Ale prawdziwa bomba wybuchła dopiero wtedy, gdy dwutygodnik




„Ceskoslovenska Filatelie", a za nim austriacka „Neue Samlerschau", francuska „La Quinrione Philatélique" i inne pisma, zarzuciły znaczkowi błąd mitologiczny. Bohaterką tego porwania była bowiem nie Hebe lecz... *)

Ciekaw jestem, czy nasi polscy filateliści zdadzą lepiej egzamin od swych francuskich kolegów i czekam niecierpliwie na wyjaśnienia.

A tymczasem panu Gandonowi i panu ministrowi poczt z mitologii — „dwója".

**Witold Orłowski**

*) Pomiędzy czytelników, którzy prawidłowo określą scenę mitologiczną przedstawioną na znaczku i opis jej prześlą do Redakcji „Tygodnia" — rozlosujemy trzy nagrody książkowe. Termin nadesłania opisu upływa 5 października br.

# VI KONKURS „TYGODNIA" *na rozrywki umysłowe*

Dziś rozpoczynamy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

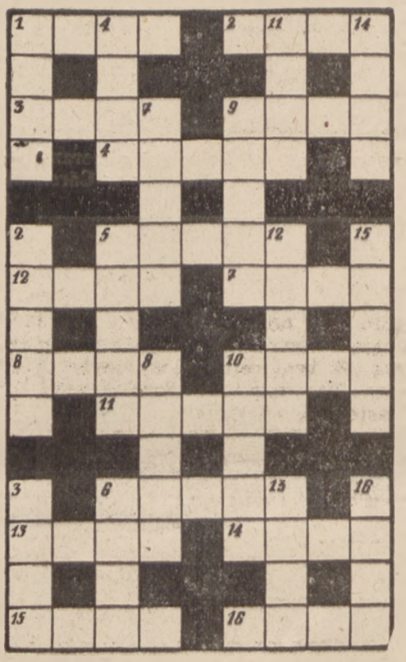
# K R Z Y Ż Ó W K A

**Uł. Krzeszowski Józef**

**ZNACZENIE WYRAZÓW**

**Poziome:**

1) Kanał łączący Morze Śródziemne z Czerwonym,
2) Lewy dopływ Dunaju,
3) Rura odpływowa przy osuszaniu terenu,
4) Legendarna córka Kraka,
5) Imię żeńskie,
6) Dolna granica ceny,
7) Uroczysty ubiór cywilny,
8) Młodszy duchowny w kościele prawosławnym.
9) Bożek miłości,
10) Surogat żelaza,
11) Zagadka rysunkowa,
12) Połączenie ruchome kości,
13) Część łodzi,
14) Część kościoła,
15) Pies myśliwski,
16) Kontuar.



**Pionowe:**

1) Produkt chemiczny,
2) Załoga łodzi,
3) Stolica Norwegii,
4) Kandydat,
5) Moneta starożytna,
6) Mitologiczna postać,
7) Prawy dopływ Wisły,
8) Przetwór mleczny,
9) Imię męskie,
10) Czerwony kamień szlachetny,
11) Stolica Włoch,
12) Legendarny król celtycki,
13) Zapora,
14) Tułów,
15) Płaszczyzna do wyświetlania filmu,
16) Skrzynia.

*Uł. Z. Szumerowska*




# NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadka siódma nie sprawiła wiele kłopotu naszym czytelnikom. Podajemy jej rozwiązanie przytaczając treść listu do Redakcji nadesłany przez Marysię Łaską z Płocka:

*Szanowna Redakcjo tygodnika „Tydzień"*

*Zamieszczona w Nr 36 (60) z dnia 7.IX r. b. zagadka 7-a będzie miała treść, na podstawie tego rysunku następującą, a mianowicie: „BOGATEMU TO I DIABEŁ DZIECKO KOŁYSZE".*

*Jeżeli trafnie odgadłam, to uprzejmie proszę Sz. Redakcję o nagrodzenie mnie ładną książeczką, bo lubię dużo czytać, dobrze się uczę, jestem w III klasie szkoły pow. w Płocku. Mam skończone 9 lat i z Mamusią i Dziadkiem czytamy nasz Kochany „Tydzień", którego z utęsknieniem co tydzień wyglądamy i interesujemy się wszystkim co pisze, a ja bardzo lubię odgadywać zagadki w nim zamieszczone. Więc proszę o ładną książeczkę, za którą serdecznie dzię kuję z góry i polecam się pamięci.*

*Marysia Łaska ucz. III kl.*
*Płock, ul. Kościuszki 2 m. 2.*

Tak, Marysiu, dobrze odgadłaś i dlatego dostaniesz ładną książeczkę. Cieszymy się, że się dobrze uczysz i że ci się nasz „Tydzień" podoba.

Ponadto w drodze losowania otrzymali

NAGRODY KSIĄŻKOWE:

**Jan Kucharek — Polichna, pow. Kraśnik. Spółdzielnia „Rolnik".**
**Joanna Kaszuba — Rzeszów, ul. Czwartaków 4.**
**Józef Piędel — Jeżowe, pow. Nisko. Spółdzielnia „Nasz Sklep".**
**Mieczysława Prymaczenko — Radom, ul. Czachowskiego 6. Okr. Oddz. Włók. „Społem".**
**Bronisława Samoń — Lublin, ul. Kapucyńska 1.**

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

**S. Skulski — Poczta Lipno skrytka Nr 2 (Pomorze).**
**Stanisław Wnęk — wieś Dębe, poczta Serock n-Narwią.**
**Wanda Bigalke — Warszawa, Targowa 70 — 36.**
**Jadwiga Zielińska — Koźle, ul. Mickiewicza 5.**
**Aleksandra Słowikowska — Brodnica n-Dr. ul. Przykop 7.**
**Zofia Grabska — Łódź, ul. Brzeżna 16 — 3.**
**Marian Feduszka — Szczebrzeszyn. Zakłady Chemiczne „Alwa".**
**Leonard Burdelski — Wągrowiec, ul. Bartodziejska 31, woj. poznańskie.**
**Józef Mroczkowski — Świdnica, ul. Jagiellońska 24 m. 9.**
**Jerzy Kozakiewicz — Wałbrzych, ul. Zamkowa 4 — 18.**



Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą. Powyżej zamieszczamy zagadkę Nr 9. Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 29 września br. Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Rozwiązanie zagadki ósmej w następnym numerze.

# MIŁOŚĆ KSIĘŻNICZKI

Dwa lata temu, wracając z zabawy od cioci Maryny, Księżnej Kentu, z jej posiadłości Cappins koło Windsoru, księżniczka Elżbieta zadecydowała o swoim wyborze: tylko Filip grecki może zostać jej mężem. Całe popołudnie spędziła wesoło w jego towarzystwie, co dało sporo do myślenia reszcie towarzystwa...

Następnego dnia księżniczka Elżbieta oznajmiła matce swą decyzję.

Królowa Elżbieta nie potraktowała sprawy zbyt serio. Wiedziała co prawda od dawna, że córka jej czuła zawsze sympatię do swego kuzyna, od czasu, gdy jako dzieci bawili się w parodiowanie osób z rodziny królewskiej w Broodkens, siedzibie lora Mountbattena, wuja Filipa. Wiedziała także, że księżniczka jest samowolna i uparta. Przede wszystkim jednak była zdania, iż upodobania młodych dziewcząt w wieku dziewięćnastu lat bywają przemijające.

## Elżbieta kłamała z miłości

Ale Elżbieta wytrwała przy swoim księciu. Pisała do niego, gdy przebywał w swoim pułku w wojsku, towarzyszył jej na oficjalnych wystąpieniach, spędzali razem wakacje w zamku Balmoral.

W Londynie zaś, aby móc się częściej z nim widywać, Elżbieta wynalazła następującą strategię: oficjalnie udawała się z przyjaciółmi na przestawienie do teatru, po czym opuszczała teatr pod jakimkolwiek pretekstem, powracała do pałacu i — gdy po pół godzinie, wszyscy sądzili, że położyła się spać — wymykała się pokryjomu, w przebraniu do swej damy dworu, Jane Elphinston. Tam, w małym kółku najbliższych przyjaciół, odnajdywała Filipa i wraz z młodzieżą bawiła się do 3-ciej — 4-tej nad ranem.

Niebawem upór i zawziętość Elżbiety zaniepokoiły parę królewską. Elżbieta musiała odbyć długą rozmowę z rodzicami w przededniu swoich dwudziestych urodzin. Król Jerzy VI prosił swą córkę serdecznie lecz stanowczo, by nie podejmowała żadnej ostatecznej decyzji, zanim nie zasięgnie w tej sprawie opinii swej Rady Przybocznej i rządu. Wyjaśnił Elżbiecie, że fakt narzucenia narodowi księcia cudzoziemskiego — co gorsza księcia greckiego — mógłby na tle wypadków politycznych spowodować wzburzenie opinii publicznej, która życzyła sobie, by Elżbieta poślubiła Anglika. Król zaznaczył także, że nic nie zmusza Elżbiety do szybkiego zamążpójścia.

Elżbieta odpowiedziała, że jest nieodwołalnie zdecydowana poślubić Filipa i to w możliwie jak najkrótszym czasie. Jeśli by miało do tego nie dojść — nie wyjdzie za mąż za nikogo innego.

Dramat się zaczynał!

Co prawda, Filip był, ze strony matki pochodzenia angielskiego. Nie umie ani słowa po grecku i spędził w swoim kraju rodzinnym zaledwie 15 dni w swym życiu. Ojciec jego zaś, książę Andrzej, cudem uniknąwszy śmierci z rąk rewolucjonistów greckich, przysiągł, że syn jego nie tknie nogą ojczystej ziemi. Mimo wszystko Filip był jednak księciem cudzoziemskim, przypuszczalnym następcą tronu greckiego w szóstej linii. W dodatku jego cztery starsze siostry były zamężne za niemieckimi książętami. Najmłodsza, Zofia, poślubiła Krzysztofa księcia Hessji, który związał się z Himmlerem, a następnie został szefem sztabu lotnictwa hitlerowskiego.

## Wolę abdykować

I oto mister Attlee wezwany został na naradę do Buckingham Palace.

Zwołał on natychmiast ściśle tajne posiedzenie Rady, na której małżeństwo Elżbiety z Filipem napotkało na niezwykle gwałtowne sprzeciwy. Mr Attlee zakomunikował królowi odpowiedź swych ministrów, król zaś z kolei zawiadomił o ich decyzji księżniczkę.

Bardzo blada, odrzekła z prostotą:

— A zatem, zrobię tak, jak stryj Dawid, (Książę Windsor). Wolę nie panować, aniżeli zrzec się Filipa.



Księżniczka angielska Elżbieta i jej narzeczony por. Filip Mountbatten.

Próbowano ją przekonać. Premier Attlee, następnie minister Bevin odbyli długie konferencję z księżniczką. Napróżno.

Tymczasem, aby zadość uczynić prośbie swej matki, Elżbieta zgodziła się bywać w towarzystwie inych młodych ludzi. Asystowały jej kolejno najlepsze „partie" Anglii: elegancki lord Wiford, książę Ruthland, dowcipny książę Easton, czarujący lord Ruppert Nevil. Ten ostatni, kapitan gwardii, uważany był nawet przez pewien krótki okres czasu za ulubieńca Elżbiety. Niestety, był na tyle nieopatrzny, iż sam rozprzestrzeniał pewnego wieczoru tę legendę w nocnym kabarecie. Następnego dnia został nagle delegowany w sprawach służbowych na dłuższy pobyt do angielskiej strefy okupacyjne w Niemczech... W międzyczasie jego słowa dotarły do wiadomości księżniczki Elżbiety.

## Churchill się zgadza

Filip ze swej strony nie pozostał bierny. Wciągnął on do swej rozgrywki oprócz księżnej Maryny greckiej, także wuja, lorda Mountbattena, wicekróla, Indii, którego prestiż zarów no wojskowy, jak i dyplomatyczny jest w Wielkiej Brytanii ogromny. Obo je okazali się zręcznymi negocjantami, Lord Mounthatten skontaktował się z szeregiem czołowych przedstawicieli rządu i opozycji.

Ze strony Winstona Churchilla i Edena oczywiście nie napotkał na żadne sprzeciwy.



Por. Filip Mountbatten przygląda się wraz ze swymi kolegami oficerami — ćwiczeniom fizycznym wychowanków centrum szkolenia oficerów w Carsham



**Bagshot Park, Surrey, dawna siedziba księcia Connaught, ma dużo danych, by stać się w przyszłości domem księżniczki Elżbiety, po jej ślubie, który odbyć się ma w listopadzie. Sunninghill Park, przewidziany poprzednio na ten cel, uległ spaleniu 29 sierpnia. Na zdjęciu zachodnie skrzydło Bagshot Parku nad ozdobnym stawem z liliami.**

Rozmawiając z labourzystami, lord wskazał na niebezpieczeństwo ponownego kryzysu monarchicznego, który zdawałoby się zagrażał Anglii w podobnej sytuacji abdykacji Edwarda VII. Następnie podkreślił zalety księcia Filipa i zasługi, jakie ten położył dla Anglii w czasie wojny. Zaznajomił ich osobiście z księciem, który ujął ich niezmiernie swoją prostotą i demokratycznymi poglądami.

Lord „rozpracował" z kolei szefów rządów w dominiach, których panującą monarchinią zostanie Elżbieta w przyszłości. W poufnych naradach wyrazili oni swoją zgodę.

Pozostawała jednak jeszcze opinia publiczna. Wówczas lord Mountbatten zaproponował w styczniu zwołanie rady familijnej. Na radzie tej oznajmił iż Filip ma zamiar naturalizować się jako obywatel brytyjski i prosi o przyznanie mu nazwiska Mountbatten, rezygnując jednocześnie ze wszystkich swoich praw do korony greckiej.

Następczyni tronu zwyciężyła! Postanowiono jednak: niech jeszcze trochę wody upłynie w Tamizie...

## Elżbieta zazdrosna

Następnie odbyła się wielka podróż rodziny królewskiej do Afryki Południowej, odbyły się uroczystości pełnolecia królewny i jej triumfalny powrót do Londynu.

Prasa zaczęła coraz serdeczniej pisać o małżeńskich projektach Lisbeth.

Tymczasem jednak, gdy już wszystko było załatwione, cała sprawa o mały włos nie rozbiła się w ostatniej chwili.

Podczas kiedy księżniczka znajdowała się w Afryce Południowej, książę Filip spędzał wakacje we Francji, na Lazurowym Brzegu, gdzie w nocnych lokalach Cannes co wieczór można go było widzieć, tańczącego wesoło prawie wyłącznie w towarzystwie pięknej jego kuzynki, lady Mitford. Księżniczka Elżbieta po swym powrocie do Londynu, pełna gniewu, obsypała „niewiernego" Filipa gorzkimi wymówkami. Po tej gwałtownej scenie młodzi nie widywali się przeszło trzy tygodnie.

Filip napisał długi, rozpaczliwy list do Elżbiety z przeprosinami. Król i królowa usiłowali przekonać córkę.

— Po tym wszystkim, co się zrobiło dla załatwienia tej sprawy, nie wolno ci tracić głowy i nagle odwoływać swoją decyzję — powiedział król Jerzy.

I Elżbieta wybaczyła z uśmiechem.

W międzyczasie mówiono także o możliwości małżeństwa Elżbiety z Karolem, pretendentem do tronu belgijskiego — z okazji licznych wizyt królowej belgijskiej w Londynie. Sprawa ta nie jest jednakże aktualna. Następczyni tronu angielskiego nie wolno poślubić księcia wyznania katolickiego. Ponieważ książę Filip jest wyznania prawosławnego, nic nie stoi na przeszkodzie małżeństwu Elżbiety - protestanki z prawosławnym. Natomiast wiele się mówi o możliwości małżeństwa młodszej księżniczki, Małgorzaty - Rozy z księciem Baudoin, starszym synem króla Leopolda. Ze względów politycznych sprawa jest chwilowo w zawieszeniu.

Zresztą należy najpierw wydać za mąż przyszłą królową, której panowania wyczekuje z radością każdy Anglik, wspominając z rzewnym westchnieniem lata potęgi i rozkwitu Imperium w czasach kobiecych rządów: królowej Elżbiety i Wiktorii.

TYDZIEŃ

**W związku z „Dniem Spółdzielczości" następny powiększony numer „Tygodnia" poświęcony będzie spółdzielczości polskiej**